



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY”

(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnośnieniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwraca się.

Przedpłatę przyjmują: Administracja Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pras peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Gładkiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji prasnej i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TRZESĆ. *Polityka:* Mowa Gladstona p. T. T. Jeta. — Wybory krakowskie. — Z Fracypł p. P. — Tydzień polityczny. — *Powieści:* Dwugłos miłości. Fantazja p. W. Okręńskiego. — *Badania naukowe:* Obyczajowe czynności własności I. p. Ad. J. Cohna. — *Literatura i sztuka:* Piotr Chmielowski, II. — *Literatura czeńska:* I. Wznowienie sporu o autentyczności rękopisów królowodworskiego p. Jana Karłowicza. — *Pejzaż:* Liberum veto p. Posła Prawdy. — Na widokregu p. Nieborskiego. — *Prasa rosyjska.* — O prawdę. (Sprostowanie) p. Henryka Sirowego. (Odpowiedź) p. N. Hirsbanda. — *Kronika bieżąca.* — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia.

POLITYKA.

MOWA GLADSTONA.

Nie wątpię, że wygłoszona w parlamencie angielskim przez Gladstona mowa znajduje szerokie w prasie wszechświatowej, a zatem i w naszej, echo. Jest ona wielkiej doniosłości zdarzeniem politycznym. Dzień 8 kwietnia r. 1886 zapisał się wyraźnie, aniżeli wiele krwii podlanych faktów, na kartach dziejów Europy. Gladston objawił się jako mąż stanu, posiadający rzadki w meżach stanu przymiot: rozumienia historii. W tym względzie nie wyrównywa mu w chwili obecnej żaden z zagranicznych jego kolegów, powodujących się w ogóle polityką nie konieczności dziejowej, ale podstawianych zamiast niej widoków okolicznościowych, nasuwających się w ten mniej więcej sposób, jak szerszaki okretu rozbitka, które morze od czasu do czasu mieszkaniom nadbrzeżnym na łup rzuca. O tym mezu stanu, który dziś Anglii przewodniczy i zapewne przewodzić jej długo nie będzie, powiedzieć można: *Ecco homo!*

O tak! W ogóle na drodze pojęć realistycznych i utylitarnych, jakie w naszym antyromantyzmie obecnym przeważają, spostresgając się dając błąd jeden główny, mianowicie: gonienie za korzyścią niezwolenną. Błąd ten popelniają powszechnie nowożytni w spekulacji, którzy, wkładając w przedsiębiorstwo kapitał, pragną, ażeby zyski natychmiastowe go pokryły. Błąd ów miał i na działalności politycznej zastosowanie szerokie. Widnieje ono szczególnie tam, gdzie zadania polityczne rozstrzygają się zapomocą wojen. Naprzykład: Austria wyniosła się na wojny napoleońskie, z zimną krewią, ze swobodą umysłu i czystym sumieniem przysądziła sobie pokrycie nakładów, zabierając w r. 1815 Lombardję i Wenecję. Co to było z racji tej chwalebny! — ile deklamacyi na temat mądrości stanu, powagi i honoru! — honora, który pozwolił odzyskać własność zabierać, ale nie pozwalał jej oddać. Następ-

stwa zreperowały ten honorowy obłąd. Zabrana w r. 1815 Lombardja i Wenecja wyrzuciła Austryję w r. 1866 ze związku niemieckiego. Nie nauczyło to jej atoli rozumu, albowiem w dwadzieście lat później znów monarchia ta, mądrością dyplomatyczną walawiona, przysądziła sobie, z równą jak w roku 1815 zimną krewią, swobodę umysłu i czystym sumieniem Bosnie i Hercegowinę. Fakty, odnoszące się do tego rodzaju mądrości dyplomatycznej, snują się ciągiem jednym przez historię naszą. Dziwny stąd powstaje rozbrat pomiędzy moralnością prywatną a moralnością publiczną. Pomijamy to jednak. Mądrość owa pod innym jeszcze względem ma uwagę zasługującą — pod tym mianowicie, że dzięki jej niemożliwa jest trwałość budowl politycznych. Ile też to ona państw, hegemonij i równowag politycznych natworzyła i zburzyła! W oczach naszych punkt ciężkości i równowagi politycznej przesunął się od państwa do państwa, niby paciorki na różańcu. Zajmowało go mocarstwo dziś to, jutro inne, a kaśde, w chwili, kiedy nani wchodziło, otaczało się dykami wywodów rozumowych, których treść i sens tomazczy się zapomocą tego bardzo trywialnego przywołania: „Nie ma, jak ja i...”. Wywodami tego rodzaju od znużenia karmi patriotyzm niemiecki od lat kilkunastu książę Bismarck. Przed nim słyszyliśmy je w innych, a przedtem jeszcze w innych ustach. Słomochwałstwo brzmi tak długo, póki sprząja powołenie, któremu regularnie co czasem w poprzek staje. Pokazuje się w końcu, że wkluczony w nie został rak, co to toczył i stoczył. W jednym mocarstwie działalność jego była szybsza, w drugim powolniejsza, każde atoli w chwili potępienia wszczęło sobie chorobę, która je w rezultacie ostatecznym do zanku doprowadziła. Hiszpania, państwo Otto-mańskie, jak potępienia znajdujemy je w opowiadaniach o przeszłości europejskiej! W co się one obecnie obróciły?... A dla czego?... Przyczyny wiadome nam są dziś dokładnie; uznają je nawet dniejsi megowie stanu hiszpańscy i turocy, tak jak megowie stanu austriackiego uznali, że poprzedniczy ich, co monarchii austriackiej Lombardo-Wenecję przysądziła, popelnili niedorzeczność kolosalną. Ale — niechby

któ próbowal był od panów tych wydobyć uznanie wówczas, kiedy mecarstwa owe hodowały we wagnznościach swoich raki, co je toczyły! Próby tego rodzaju uchodziły za szkodliwe staniu i — kto zliczy pałe, szambienie, rusztowania, place rozstrzelane, więzienia i inne sposoby odpowiedzi, jakich ciekawym udziałem!... Ciekawość do prób gorzko się próbującym opłacała; gdyby nie ona jednak — nie moglibyśmy ani racji stanu mądrości zaprzeczyć, ani dyagnozę historycznej robie, ani też wystąpienia Gladstona w d. 8 kwietnia r. b. podkreślać. Zdobył się on na to, na co się nie zdobył żaden z jego poprzedników, ani żaden ze społeczeńików: wyznał popelnioną przez Anglię błąd — błąd zarazem historyczny i polityczny.

Błąd historyczny — punkt to ważny, pod względem zwłaszcza naukowym, wobec szeregów prasy piszących historię publicystów pojęcia o nieomyślności historycznej. Publicyści są istną nauką plagą, będąc obok tego rodzaju mechow, co nadmądamy mechow staniu. Micochy to Anglii pracują obecnie ruchem gwałtownie przypieszanym i spotogowywanym w obronie nieomyślności historycznej. Wyjętek we względnie tym stanowią jedne *Daily News*, stając po stronie odważnego mezu stanu — pierwszego ponoć w dziejach, co odwagę tego rodzaju okazał — który o nieomyślności tej pojęcie zachwał.

Rzecz sama wydaje się prosta. Nieomyślność na polu faktów dziejowych nie istnieje bardziej, niż we wszystkich, co ludzie czynią. Historia polityczna jest dziełem ludzkim, a zatem być w niej musi błądów pełno, popelnionych dlatego tylko, że się po tom okazują nadzwajła. *Ce qui est bon a prendre, n'est bon a rejeter.* Wedle recepty tej chwytaj się wszystko, co pod rękę wpada, bez względu na to, że się jednakowo polyka i jasko na miękkie i kawałki kamienia, z których pierwsze podlega, drugi nie podlega procesowi asymilacyjnemu. Dzięki regule ani siedem wieków temu Anglia zabiera Irlandję — popelniała błąd, który się dokonał na polu historii, który przez wieków siedem zaważał jak kamień w sołdaku i do którego mądrość staniu, zamianat przynajmniej i środki odpowiednie zastosować, stosowała wszystkie popelnicie w razach podobnych używane sposoby,

celem zanglizowania irlandczyków. I nie żartowała. „Ausroterstwo” angielskie wypalało irlandyzm żelazem do białości zagranem i, po szeregach drugim takich operacji, dokonywanych w ciągu wieków, liłoży mogło na spokojne owoców asymilacyjnych spożywaną. Nie zasłuszyło na to? Rzućmy okiem na przebieg wypadków. Do zaboru za pretekst posłały Anglii bezradni irlandzcy. Postawienie pierwszego kroku pociągnęło za sobą następstwa, które się wysnuwały jedno z drugich, wywoływane tego rodzaju niewiedzią irlandczyków, co to się na dobrodziejstwach poznawać, ani dzień ich nie umie, piastując w duszy nadzieję i utopie szalone. Anglia dobrodziejstwowala ich na wszystkie sposoby — religijne, narodowe, porządkowe, ekonomiczne, społeczne, eh — i krnąbrnych, albo niedość powolnych karać umiała z surowością, przekazującą grozę z pokolenia na pokolenie. Po tam wszystkim miała — adzie się — prawo przy nieomylności historycznej upierać się do końca, zwinaszca że — bądź co bądź — siła po jej znajduje się stronie. I w takich to warunkach prezydent gabinetu wystąpił przeciwko prawom wyjątkowym, mianując je skodliwymi dla interesów kraju, przeciwnymi zarówno rozumowi politycznemu, jakoteż moralności.

Pierwszy to raz sprawa tego rodzaju w sposób ten i w duchu takim postawiona została przez naczelnika gabinetu.

Cóż to znaczy? — albo raczej: skąd się to wzięło? Powszecchno ludziom na stanowisku mówów stanu głowa się zawracza. Z wyżyny nie widzą jasno. Przedmiotów w oczach się im mienia, linie krzywizny; jeżeli który się czego uczył kiedy, zapomina, lub rozumie na opak. Śmiertelniecy wywołani, zostawmy mękami stanu, ludzie zdolni i światli, zmieniają się w maniaków. Pochodzi to stąd, że z przekonaniem rozstrat biorą i buseł trzęsą. Gladstone nustrzeć się tego. Jakim dojrz, takim pozostać; mać stanu nie zabił w nim człowieka rozumnego, pojmującego wymogi postępu. Zabór Irlandji uchodził mógł dawniej, kiedy nieznanem było pojęcie praw obywatelskich. Pojęcie to od wieku XII rozwinęło się, utrwalilo i wprowadziło odmienny, aniżeli dawniej, pomiędzy państwem a jego składowcami częściami stosunek. Uznana została autonomia osobistości człowieka i wynikające z niej następ-

stwa. Wolność osobista pociąga za sobą wolność narodu — z przyznania przeto przez konstytucję angielską swobody irlandczyków wypływa swoboda Irlandji. Z przeciwników Gladstone żaden nie zaprzeczył temu, ale też żaden drugi konsekwencyi nie doszedł do tego wyniku logicznego, że narodowi krzywdzonemu należy się wynagrodzenie krzywdy. Coś podobnego mówię stanu przeciwnicy uważają, jako rzecz, będącą na miejscu w książkach jeno. Czyż dokonane wydają się im wyrokami nieodwołalnymi i tego rozumieć nie chcą, że właśnie protestacyja przeciwko czynom dokonywanym — przeciwko błędom polityczno-społecznym w przeszłości popelnionym — stanowi obecnie dźwignię ruchów umysłowych i faktycznych bardzo ważnych i wcale groźnych. Jesteś praktyczniejszy na zastrzeżenie rachów tych sposób nad usunięcie przyczyn zapomocą naprawienia błędów? To także protest i jasne.

Prasa w ogóle, nie angielska nawet, z niedowierzaniem wygłoszone przez Gladstone zasady przyjęła. Nie dziw. To takie w ustach meka stanu nowe! Powodem niedowierzania jest jeszcze i to, że mowa Gladstone nastąpiła niezwłocznie po mowie księcia Bismarka, który wręcz przeciwnie w odniesieniu już nietylko do Irlandji, ale i irlandczyków pruskich zasady wygłosił, powołując się na wyrazy „przyjaciela swego, Gladstone: *Hands off!*” Przyjaciel odpowiedział „przyjaciół”. Mowa prezydenta gabinetu angielskiego, o ile odnosi się do wskazówek historyi, do filozofii politycznej, do zasad sprawiedliwości i prawa, do reguł interesu dobrze zrozumianego, do wszystkiego, słowem, co stanowi jej podkład rozumowy, jest, punkt po punkcie prawie, zbliżaniem, krytyką doktryny kanclerza szajana. W słowie każdem zaprzeczenie i dowód przeciwny. Co jeden wali, to drugi buduje; do czego jeden nastawia się „krwią i żelazem”, do tego drugi zwraca się z wynajętą przyjaźnią dionią; jeden irlandczyków swoich skazuje na zastrat, drugi swoich w tymże interesie powołuje do życia. Nie dziw przeto, że prasa, postawiona pomiędzy dwiema tak odmiennymi dwóch „przyjaciół”, między stanem znakomitych, teoriami, znajdując się w kłopotcie, który z nich ma rację: czy ten, co poha ludzkość wstecz? — czy ten, co jej drogę naprzd wskazuje?.. Wartyby mowę księcia Bismarka z dnia 8 sty-

znia i wypowiedzianą w trzy miesiące później mowę Gladstone razem, w książce osobnej, jednę po drugiej, na wieczną rzecz pamiętając, wydrukować. Jeżeli jednak z nich ma słuszość, drugi jej nie ma; jeżeli jeden mówi prawdę, drugi mówi nieprawdę. Taki pomiędzy nimi zachodzi stosunek — który ten większego nabiera znaczenia, że nosi na sobie piętno urzędowe, pod jakim występuje bój o zasady, przenikający wydmuchaną przez uczonych niemieckich na rzecz silniejszego walkę o byt. Wedł Gladstone — i to stanowi o wywodach jego — słabsi mają takieś samo, jak mocniejsi, do bytu prawo. Wedł niego niezależność Irlandji nietylko Anglii nie przeszkadza, ale jej pomaga. Ani Windhorst, ani żaden z oponentów w parlamencie pruskim, nie odpowiedział Bismarkowi tak dosadnie i dowodnie, jak „przyjaciel” i kolega jego angielski.

T. T. Jed.

WYBORY KRAKOWSKIE.

19-go kwietnia.

D. 17 b. m. ukończone zostały w Krakowie wybory do Rady państwa, w celu obśadzenia krzesła, opróżnionego po Makeymilanie Zatorskim. Kampania wyborcza była jedną z najciszejszych, jakie Kraków w ogóle pamięta, a przebieg jej cały ujął wiele rzeczy bardzo dziwnych i bardzo niespodziewanych. Parlamentaryzm zwyciężym zebrane najpierw a grona obywateli komitet z t. przedwyborczy, który przewodniczyć będzie sprawie, a więc przedwyszkietem rozstrząsać wartość przedstawionych kandydatów ialeści usunąć za najodmiejniesz. Dośd labo, a pryncipalniej sporządzanie tylko roskwitujące tam życie publiczne przycynia się tego, że wybory nie dość znaczenia przywiązują do składu tego komitetu: potrzeba wyszczegółić aż 60 ludzi, którym niby nie nadaje się żadnej władzy istotnej, którym w porzeczbie można się sprzeciwić, stąd wielu sobie lokowcały to czynność, a drugiej zaś strony mało kto ma czas i chęć do układania własnej listy o kilkudziesięciu członkach. Nie wielu też obywateli spełnia tę powinność, a nieliczna garstka ludzi przy-

POWIEŚĆ.

DWUGŁOS MIŁOŚCI.

Fantazja.

Wkrótce strumienie deszczu pozaciekały we wszystkie szpary, ponasępnieli każde wgłębienie, każde wydrążenie ziemi, która wyglądziwszy swe dolki brudny i smarszczki, zaszkliła się gładką powierzchnią. Nawet cienkie wygięte potoków, wijące się w głębokich rowach, nabrzmiały aż do brzegów a na skrajach i spadkach najostrejsze swe płowe, sumiaste grzywy.

Wreszcie woda, buchająca z chmury, zaczęła podrywać lepianki i domy. Przerzani ich mieszkanicy wybiegli półnadrzy i z nieprzetartym snem na oczach, śród szumu, płasku i ciemności, tułali się bez drogi i celu, niekające od śladów, które za sobą odnisięły i które woda zalewała. Ogólna trwoga oświła i zobojętniała wazjemnie wszystkich. Jagnię ociarło się o lwa, zbrodniarz szedł obok mełozennika, ładacznicia — obok siostry miłosierdzia. Z najrozmaitszych istot tworzyły się i rozprzęgali przypadkowe grupy. Nikt nie wiedział, dokąd dąży.

Bursa, epastwisy się nad ziemią, nie-co obuchęła. Przestała przynajmniej pluć spienioną ulwą, chociaż nie ściągęła z niebios ponurej opony, za którą grzmiały ciagle jej grzoby.

* * *

Nad wyniosłem urwiskiem, pod kotłem przebiegały rozsochowane fale, stał młodyś młody w bluzie, przepasanej sznurkiem. Szerokie wyloty głęboko obnażały mu ręce, a odwinęty kołnierz — szyję, na której odchyliła się biała twarzą ku niebu nieruchoma głowa. Usta miało otwarte i gorączkowym oddechem przypalone, nozdrza mu drgały, brwi zsunęły się surowo nad oczami, w których odbijała się llna dogasającego pożaru duszy. Czoło jego lśniło się całą białością, że go mroki przyćmić nie mogły.

Stał długo niemy, wreszcie szepnął cicho:

— Czy prócz ziemi niemy w przestrzeni innego przysłuchu dla człowieka...

Opuścił głowę, powiódł znużonym wzrokiem wokoło siebie i zatrzymał go na jakimś białym owalu ludzkiej twarzy, którego cienie Nocy również zatrzęś nie zdołały.

Byłakawica zygankiem rozpruła chmurę i rozjaśniła cały widnokrąg.

Przy jej świetle młodziśczyna njrzał nieopodal młodą kobietę, siedzącą na od-

łamie skały, z zaplecionymi smutnie rekami i patrzącą w nurt potoku, który kipił pod jej stopami. Smutką kibić otulała biała tiunika, zaginająca się wzdłużem po łukach jej ciała, które z pod osłony przebiegało się całem bogactwem swych kształtów i linii. Bujne pierśi falowały lekkim ruchem, włosy rozbiegły się w puklach po szyi i muskały ją łagodnie. Nad twarzą tak przeudnego wykreju, jaki tylko geniusz narysować a natura stworzyć zdolna, pęstiwił się okrutny smutek, który skamielił jej oczy w dwa martwe szafiry, niemiśle promieni słumionego życia. Czy pozadziwy nurt wabił ją w swe zimne objęcia?

Gdy przy ogniu błyskawicy dostrzegła męczyznę, w oczach jej zamigotały łotny uśmiech. Wstała i podeszła ku niemu.

— Urokiem padłeś mi w serce — rzekła do niego; pozwól mi zginąć lub żyć z tobą.

— Kto jesteś, pięknu?

— Kobieta, którą wichor oderwał od ziemi i miota po niej.

— On panuje nad nami a słubów nie daje zakochanym, lecz łączy przypadkiem tych, których razem w dłoń swą podchwyci i zgwiecie lub rzuci.

— Mylisz się, on tylko jednej miłości potęgą nie może. Czyś jej jarzących się węzłów nie widział na tle tej czarnej otchłani, w którą warok ciskałeś?

— Alboż mnie kochałeś?

chodzi, trzymając w ręku dwie listy gotowe, już drukowane, a z tych jedną lub drugą oddaje przy głosowaniu. Skoro komitet został już złożony, kilku wytrwałych przewodów od razu może przeciągnąć na swą stronę jego członków chwiejnych albo obywateli, dla pozoru bezstronności jedynie wprowadzonych. Konserwatyści od dawna poznali się na wartości stanowisk w tem gronie; zawsze wszelkimi siłami starają się o opanowanie go, a w ciągu lat zdolałi nadać mu znaczenie olbrzymie, wagę trybunału, po za którym nie ozięwigo, nie obywatelskiego istnieć przez czas wyborów nie może, kto sprzeciwi się komitetowi, kto go pominię — ten zdradza, pokątny agitator, człowiek złej wiary. Po za nim nie ma zbawienia politycznego. Tym razem, jak niemal zawsze, żyłwi statystykowski zawiadzał komitetem. Przewodniczącym obrano prof. dra Zolla. Rozpoczęto zgłaszać kandydatury. Ogromna przewaga panów pola — statystyków, popartych przez żywioły konserwatywne, sprawiała, że prawie zwykły o mandat wazyli się ubiegać tylko ludzie lojalni, pokrewni, umiarkowanej barwy, z których wszakże jeden więcej od współzawodników doznawał opieki i posłem zostawał a gdyby ten cudem był przepadł, klęska dotknęłaby raczej jego ambicję, niż stronnictwo spokojne o prowadzenie się niegroźnego zwycięzcy. Tym sposobem wysłali oni dużo swych ludzi nad modry Dunaj do Koła polskiego. Przyznać należy, że niejednokrotnie przez ich parlamentarnych naszych dziejów delegowano z grona krakowskiej inteligencji konserwatywnej ołowiska zasłużonego i godnego zaufania. Obecnie stronnictwo złożyło sobie kompromitujące świadectwo ubóstwa. Próżno rozglądało się w swym niechlodziym szeregu najserdeczniejszych i w szerokim kole serdecznych. Ten był za głupi, ten za młody, tamten znowu niepewny — nie było nikogo. Oso jednak należało zrobić, było w tych ciężkich czasach, choćby kosztem wysiłku ostatecznego, ratować pozory dawnej świętosi. Podnieciono kandydaturę dra Maksymiliana Machalskiego, adwokata słynnego ze swej praktyki zawodowej, cieszącego się popularnością wśród tłumów żydowskich, dawnego liberała z czasów brasku ery konstytucyjnej, byłego wroga statystyków — dziś staros schorzanego, w którym prócz manier i oratorskiej rutyny nie pozostało nic

po ruchliwej młodości. Statystykowski kandydat z pewnością lepiej wyjdzie na tytułe zgrzybiałości, niż na rozpatrywaniu minionych lat mekskich świadomości działania. Wśród namietności walki wyborczej padały ciężkie słowa, którym opiekunowie kandydata kres kładli przez milczenie. Równocześnie wyłoniła się kandydatura Zygmunta Cieszkowskiego, którego stryj jest hrabia papiemski, co sprawia, że i jego hrabia mianują i nas dobrych ludzi. Nie komitet go przedstawił, ale grono zasyłanych członków resursy salabieckiej, które dla pewnych zająd w niepełnej zgodzie żyje ze zrębem statystykowskiego stronnictwa. Cieszkowski jest człowiekiem ruchliwym, jak rtd — skorym do działania w jakim-bądź kierunku, posiada zapal i talent do przeprowadzenia zamiarów z bajejność małymi środkami. Przez kilkoletni pobyt u nas był duszą towarzyskiego życia, tańczył na balach, grał na skrzypcach, urządził koncerty na różne cele, dał raz odczyt publiczny, abierał laury zastępowe u amatorskich toatrach, wozł Matkęję do Raymu, przewodniczył komitetom balowym, opiewał się sonną, marzył o dyrektyi teatru krakowskiego, założył wystawę stałą dzieł sztuki, popierał gorliwie towarzyszą miłosierne, pisał fejettony, podjął i rozwinął myśl Towarzystwa św. Cecylii i Towarzystwa geograficznego, działał w niezliczonych towarzystwach, bractwach, klubach i kołach; ostatecznie zaś w sam dzień przedwyborczy zgrupowania ogłosił w *Czasie* petycję do Rady miejskiej o udzielenie miejsca na budowę dwóch domów dla ubogiej ludności, które wraz z dwoma innymi obywatelami kosztem swym wystawił zamierza. Z Cieszkowskiego potrafił wszystko, tylko nie posłować. Komitet przedwyborczy nie wziął kandydatury na seryo — ale mając ją już w ręku, gotów był wyzyskać na chwałę osoby i partii, pod warunkiem zrzeczenia się w sam czas i uzyskania w ten sposób precedensu na przyszłość. Kandydatura pocziwo Kasaerowej Konopki, prezesa komitetu opieki dla wygnanców pruskich i weteranów z 31 roku, postawiona została i odfinietta bez ulmy dla niego — jako dołowa owaeba bez politycznej wagi. Nieznokony ciągłemi niepowodzeniami, chronozycy kandydat do Rady państwa, dr Jonatan Warsauer również w tym roku wystąpił, acz na zgromadzeniu wyborczem niepojawil

się, nadsyłając tylko krótki list z przeproszeniem. Mowy Machalskiego i Cieszkowskiego nie zawierały nowych rzeczy. Cieszkowski, mimo początkowego drżenia, pisał pięknie i ogólnikami dobrze przybranymi. Dotąd wszystko w porządku i po dawnemu. Tymczasem oraz głośnie i częściej rozległo się nazwisko Tadeusza Romanowicza, redaktora *Nowej Reformy*, i partii postępowej. Statystycy pewni zwycięstwa, uważali to za prostą, nieszkodliwą manifestację „ulicy“, która chce w walce wyborczej zaznaczyć swą odrębność — jak to się już zresztą i przedtem, bez żadnych następstw, traślało. Ale przelicyli się grubo.

Dawniejsze stronnictwo postępowe rzeczywicie nie wielkimi strachom mogło przejmować meków, którzy tyle pożarów dooba gorącego ugasiłi powodzią słowa; a nie było ono zresztą groźne, bo brakowało mu ładu i ludzi. Przekradali się nie raz do niego zawiedzeni w rachubach, odepnięci lub osobiste interesowani, ludzie ducha małego, gotowi do powrotu na prawowierne łono za łada ukłoni, łada mamiłoli, łada miskie moralnej soczewicy; sączyli go warcholy, skłonne dokufu, do nie-trzechwznych uniesień, do nieokleziwanego wrzasku, groźne w knajpie, krzykiwane w kupie, a pełne przywar i nieuotwa. Ale czasypowoli się zmienił pod wielu względami. Ruch amyslowy szersze ognia kregi. Praca podjęta przez ludzki aggrupowania okolo *Nowej Reformy*, acz daleka od doskonałości, acz nie wolna od krytyki, zaczęła wydawać owoce, bo zasada jej postępowania ngila ludzi, którym duszno było w atmosferze, gnioicionej statystykowskim tłokiem. Pismo, walezące z kłopotami i obmojności, choć samo nie zadowolni imkownikowych nawet żądań, podniecało jednak myśl do pracy, deptało statystykom po piętach, ośmielało ludzi do swobodniejszego poruszania się, wyrażało intencję dawniej trzymane na uwiegi. Nie wszędzie w obnie sztuk można zasad postępowych, często napotka się tylko na obruszenie przeciw stronnictwu rządowemu — ale ruch jest wyraźny. Są to naukowicy, lekarze, urzędnicy, kupcy, rekolizielnicy — przezwadający małymi środkami, niezorganizowani, ale pokrewni usposobieniem i chęciami. Obok tego nowe kierunki, jakie rozwinęły się wśród akademickiej młodzieży,

— Marzenia moje dawno cię znają, dotknij rękj mojej, ażebym była pewna, że nie jesteś snem rozwinięym, lecz rzeczywistym.

Ujął ją za rękę i wpatrzył się w jej twarz natężoną, w której oazy zapaleni gorędo zaszęły.

W tej chwili burza z ogłuszającym hukiem strzeliła błyskawicą, która polamawszy się wielokroć jak szeroki pas zlotolity, jedynym końcem zaszępiła o niebo, drugim uwieźla w ziemi pod stopami owej ludzkiej pary i zestywniała w powietrzu, tworząc taśmę stramej i krętej ściółki. Płazoz Noey spregowała ona jaanami smugami, a wzdłuż spodu tej napowietrznej drogi stanęły w czarnej otchłini przezroczyste słupy, które ją podparyły niby szeregiem świętych kolumn.

— Słyszalam twoje słowa obrzydzenia dla ziemi — rzekła kobieta — opusd ją i wtapę za mną na ten szlak błyskawiczny. Moze jakaś dobra siła na przekrzd zły umocowała piorun w przestrzeni, ażebyśmy po jego stopniach wzniesli się nad gniazdo nieomydzą dła ludzkiego do innego świata, gdzie Noc tronu awego nie zastawia i opon nie rozsiedla, gdzie słonoe we wszystkich dusaach się przegląda.

— Usta two otwierają się ku mnie jak kielich kwiatu, wniejącego pokusa, a wyrazy zlatują z nich jak tęczowe motyle i osiadają na na sercu. Czy ta urna popiołów, którą w sobie noszę, miałaby zapalić

się ogniem twoich czarownych spojrzeń? Nie uwódz mnie, jeśli chcesz jedynie przelizać się po mojem cieku jak dreszcz rozkosny a niedrozy.

— Nie wahaj się, skoro nie zostawiasz za sobą nic, czego byś nie oddał za to, co cię spotkać może, skoro tylko rozpacz przycisnęła cię do swego łona i karmi gorąką pierśią.

Weszli na świecąca drogę i szeseli w milczeniu posuwani ku go gorze. Męczyzna przystanął — kobieta zapytała:

— Zmoczyłoby się, czy żalujesz ziemi, od której cię odwołam?

— Pająk na nitce swej siatki wiałej mógł być małe od niej odszedną, gdybym wierzył, że gdzieśindziej znajduję pokojenie drzęcych smukłom. Szczęśliwy leży tam kamieniem, nieszczęśliwy — puchem, zawsze gotowym do odlotu a byle nadzieją. Dusza moja rozbiera się teraz z chłódów ziemskich z są wilgotnych szat i przywdziewa ciepłą ngłą upojenia. Stąpam w miękki obłok, oddycham spokojem, jest mi lepiej — dobrze... Błogosławię cię będą ostatnim wyrazem warg moich, jeśli upowadzasz mnie z tego pola walki, gdzie zwycięzcy występki nagrawa się konającą enocią.

Kobieta oparła rękę na ramieniu mężczyzny i pieściła jego uszy czułą mową.

— Wierz mi, jak wierzyłam awym najszczęśliwszym uczuciom. Pokochałam w tobie wszystko, a nie najmniej boleść, po-

krewną mojej. Gdybym mogła, pozbiarabym rozproszone po cierniakach życia kropkle skrzypkoły łez twoich, nanizala je na promień słonca i zawiesila je sobie na szyi. Ta rosa twoego serca powinna była padać na pierś moją.

— Zamieniały się ona w korale, tak była krwawa. Jeśli cierpienia ołowiska są przejawami jakiejś jednej siły, to chyba los dla dogodzenia awemu okruciaństwu kradnie naturze najprzekłiwałe dzieci i patwii się nad niemi. Przetrzaka im wszystko, a gdy na jego obietnicy oparł swoje życie — odmawia wszystkiego. Ledwie ukonczyłam lata młodości — a już dusza moja jest sohnącym, bezlistnym krzewem, który nie przetrwa zimy i nie doczeka wiosny. Obierz się za mną, albo tylko sięgnij uchem w tę czarną przepaść, na której dnie leży ziemia. Czy słyszasz szum metny, czy odróżniasz w nim głosy błagalne, tryumfujące, rozpaczliwe? Czy wiesz w jaką ogólną harmonię one się stroją?

— Uciekajmy!

— Nie śpiess się!

— Uciekajmy, bo mozo stamtąd wleciać i dogonić nas furje, które seigaly moje ciało na łup dla rozpusty, obypujące zdradliwie iskrami namietności.

(D. n.)

W. Okonicki.

przeszły już w pewnej części w życie obywatelskie wraz z tymi, którzy opuszcili ławę szkolną, idąc na zawodową drogę. Ta siła rosła powoli, a że na niej można się już oprzeć, dowiodła przy obecnych wyborach.

Kandydatury Romanowicza nie zgłaszano wcale do komitetu przedwyborczego, ale komitet ryłoby zamiarkował, na co się zanosili i uderzył w dawon ratunkowy. Zarant spiski, pokątną krętną, podziemnych robót wypadł z kół poważnych prosto w twarz Romanowicza i jego przyjaciół, których liczba z każdą godziną rosła, przy pomocy gorliwej agitacji. Próbnego głosowanie okazało, że tym razem potępowy pokuszą się o coś więcej, niż o zaniechanie odrębności. Rozpoczęła się więc walka wyborcza, przechodząca rozmarzami wszelkie poprzednie. Komitet użył tajnych sprzętów pomocy władz, wpływu własnego. Rogi ulic, parkany, mury i studnie publiczne pokryły się afiszami wszelkich barw i rozmiarów. Oszereżone, zielone, białe, niebieskie, pomidorowe i szare — drukowane i pisane ogłoszenia pironowały lub wlebiały. Tam znów na wysokim drągu obnosi posłańca publiczny drukowaną chwalebę osoby Cieszkowskiego: „Polak całą duszą, całą światową, wszechstronnie wykształcony, majątkowo i społecznie niesamowity, a rwać się z zapalem” — drugi ośmieszca kolonizacyjną marzenia Machalskiego i przystępność, którą chwalił się Cieszkowski, a jeszcze inny oddaży Romanowicza od czoł i wiary. Owdzie znów bije w oczy jaskrawy afisz z napisem: „Hrabio zastanów się salonom — my ludzie pracy wybieramy Romanowicza” — pomyśl i nakład jakiegos domorosłego demokraci z Kłopotars. Handekli, cukierniki i kawiarze pełne wrzasku i dymu; po sztykach liotyaygo głow, szrau po „pięć szutek od sztuki, a” potem rosnące do paru guldenn wartości. Wszędzie gromadki ludzi po ulicach i ruch fiaków nie wywzły. Słowem „huczek niemały” — zapal wyborcy przypominający słynny rozdział z *Kłopotars*. Przy głosowaniu Romanowicz dostał 916 głosów, a Machalski 578, inni kandydaci znaczenie mniej. Ponieważ bezwzględnej ilości głosów nie otrzymał nikt, przeto delegat namiestnictwa, hr. Baden, ogłosił wybór sołojczy, dopuszczając do niego tylko Romanowicza i Machalskiego.

Romanowicz więc miał o 338 głosów więcej, niż kandydat popierający całą forsz rządowego stronnictwa. Cyfra wymowna. Stalekcy akkompromitowali się gruntośnie, upadek sił pokazał się jawnie. Wynowy fakt tego nie mogło i nie może nie osłabić.

Ratunek po moralnej klęsce znaleźli jedynie w przypadkowej okoliczności braku bezwzględnej przewagi głosów danych Romanowiczowi, odrębność do liczby wyborców. Korzystając więc z rozpisania sołojczych wyborów, napęli wszystkie możliwe struny, pusili całą awa parę. Więcej już nie się są w stanie zrobić. Całą noc krzyżowały się telegramy urzędowe i półurzędowe między Wiedniem, Krakowem i Lwowem; sprowadzone „wysokie” osobistości, wysypso stozy bankotów, naruszono prawa wyborcze, nakazano głosować urzędnikom, dając im *Wink von oben* bardzo wyraźny. Niektóre szeregoly podata *Nova Reforma*. Opowiadają one o rzeczach cynicznych. Podata są tylko te, co dadzą się powiedzieć czarnem na białem, bo inaczej spadłyby na redakcyę smutne skutki za rzucanie władzom w oczy oświeceniowości. Ile jednak po za tym obrębem dokonano niemoralnych, smutnych rzeczy, których nie wolno wspominać, ani dowodzić, choć się na nie patrzyło. Wszelkie pojenia przedmiejskich żyków, wszelkie agitacyjne grzeszki stronników Romanowicza muszą obok tego zblednąć i wygnać się dziecinna igrańska lub biem głód o mur. Po dziejach tak ustej nocy i połowy dnia wynik osta-

teczay wyborów był zapewniowy: Machalski dostał 1215 głosów, Romanowicz 1103. Postem z Krakowa został więc dr Machalski. Sprzymierzone siły Stalekcywo i konserwatysty przy pomocy urzędników państwowych odniosły zwycięstwo. Ale to zwycięstwo dale kosztowało. Krakowsy Pyrrhusi mogą sobie powiedzieć: jeszcze jedno takie zwycięstwo — a zginąłmy!

Z FRANCYI.

Paryz, 16 kwietnia.

Jeszcze znowa w Decazeville. — zaburzenia o kaplice w Chateaulain.

Znowa w Decazeville trwa ciągłe, wprawiające w rach ały machine parlamentarną Republikę. Interpelacye pojawiają się jedna za drugą, nwidoczniają nastroj Liby i rząd wobec sprawy, która tygodnie już oale trzyma cały kraj w naprężeniu. Gabinet wychodził wciąż dotąd obronna ręką ztych sejmikowych zapasów, za każdym bowiem razem Liba przyjmowała porządek dzienny, wyrażający ufanie do energii władz i poboczną nadzieję republikaniską, że słusznym żądaniem górników stanie się zadość.

Inie dziwnego, że sprawa ta zajmuje tak żywo całą Francję; nie chodzi bowiem o przemijające zajście bezznaczenia. W Decazeville odbywa się pojedynek pomiędzy klasą robotniczą, popieraną przez radykalnych i popierającą tych ostatnich, a potężną oligarchią plutokratyczną, wrogo usposobioną dla Rzeczypospolitej.

Od tego, kto zwycięży, ożyje wpływ przewasa, zależy nie tylko ten drobny stankowo szczegół, czy górnicy w Decazeville powrócą do roboty lub nie i na jakich warunkach, lecz kto okaże się silniejszy: republikaniski radykalizm czy monarchiczne nastrojony konserwatyzm.

Obietnie strony walozące wspierających sprzymierzeńców w departamencie Aveyron. Wielkie kompanie węgiel w północnej Francji związane są oddawa w potężne syndykaty patronalne, działające solidarnie wobec górników, dobijających się podwyższenia płacy i rozszerzenia swych praw. To te kompanie w Decazeville zachowują się odporne od samego początku starcia, głucha na wszelkie propozycye, wychodzące ze strony górników i objętą na pojednawcze plany, podawane przez rząd, ugodowo nastrojony. Prasa konserwatywna dodaje odwagi zagrożonym potentatom, wróćce konieczny upadek Republiki i nastanie lepszych czasów dla wszelkiego konserwatyzmu. Z swojej strony partye nie zaniebdują niczego, sęby opór zbuntowanych podtrzymać. Posel Baely, b. sekretarz generalny syndykatu górników północnej Francji, gości ciagle w Decazeville'u, organizując i podtrzymując znowę, w czem dopomagają mu posłowie Camelstn, Olovie-Hugues i inni. Dzienniki radykalne utrzymują wciąż na miejscu swych korespondentów, którzy nie tylko drażnią opinie publiczną, lecz biorą udział bezpośredni w zebraniach, dając odwagi i wywołując do zachowania pozycyi pokojowej i wyozekującej. Niedawno dwóch z tych dziennikarzy, pp. Du Query z *Cri du Peuple* i Roobe z *Intransigent* zostali aresztowani, rząd bowiem, który układał się o 900 milionów pożyczek, potrzebował tak pewne zadośćuczynienie panom kapitalistom, rozporządzającym złotym kruszczem. Unsiętnych jednak natychmiast zastąpili inni, którzy skwapliwie popiepsieli na zagrożone stankowski, w nagrodę zaś za oddane radykalizmowi usługi, jeden z aresztowanych stawiony jest na opróżnione po wystąpieniu Rocheforta miejsce poselskie. Składki

na górników nie ustają. Za przykładem rady Paryzu, która uchwaliła 10,000 fr. zapomogi, posły i inne miasta; kolumny zaś gazet radykalnych zapelnione są codziennie składkami. Sam *Cri* zbiera dotąd blisko 40,000 fr.

Z powodu aresztowania dziennikarzy wystosowano, nie wiem już którą z kolei, interpelacyę do rządu i tym jednak razem gabinet wyszedł zwycięsko, dzięki silnemu poparciu konserwatystów.

Pomoc wszakże jest z natury położenia nader zawodną, zdarzył się przeto wyjazd, który cały oboz konserwatywny ostrzychał znowu silnie od rządu. Mówimy o zajuści w Chateaulain, w dep. Isere.

W miejscowości tej znajduje się fabryka, będąca, jak zwykle, w posiadaniu osób klerykalnych i antyrepublikaniskich usposobionych. Fabryka taakoa, jeżeli się nie myle, zajmowała przeważnie kobiety, które podzielały ze swymi pracodawcami nastroj religijny, poniesiony do fanatyzmu. W obrebie jej istniała od dawna kaplica, często odwiedzana przez pracowników. Odprawiał tamodczestnie nabożestwo ksiądz miejscowy, żyjący w stanie otwartej wojny z władzami Rzeczypospolitej i ludnością, niezachowującą się do przepisów kościelnych. Ksiółki parafialni nie był zbyt gorliwie nawiedzany, kaplica jednak stanowiła twierdzę, w której bojujący sługa kościelny rad przebywał, widząc się otoczonym przez rzesze nabożne i gorliwe.

W tym stanie rzeczy władze świeckie miejscowe postanowiły zaatakować nieprzejednanego duchownego w samej jego twierdzy. Odgrzebano odpowiedni przepis ustawodawczy, oparty na konkordacie, w którym powiedziano, że żadna kaplica istnieć nie może publicznie bez osobnego upoważnienia rządu. Ta zaś nie miała upoważnienia, władza przeto republikaniska uważała słuszną całą osadę fabryczną za ognisko żywołów wrogo usposobionych dla obecnego porządku. Nie brakło dowodów, jakup. bankiet, urządzony z powodu jakiegos antyrepublikaniskiego święta, na który przybył biskup miejscowy i cała śmietanka konserwatywnego opozycyi.

W tych warunkach wyrabiał się stan wzajemnego rozdrażnienia między obu walozącymi stronami, który sprowadził katastrofę.

Pewnego pięknego poranka prefekt miejscowy nadesłał dyrektorowi fabryki p. Fischerowi oświadczenie, że kaplica zostanie zamknięta i opeczetywana jako istnienie bezprawne. Odpowiedni urzędnicy mieli spełnić ten nakaz. Dyrektor fabryki prosił na razie o zwłokę, tłumacząc się brakiem odpowiednich rozporządzeń ze strony samych właścicieli przedsiębiorstwa. Na zwłokę przyszwolono, gdy jednak ponowne wezwanie zostało również niewysłuchane, a furtki fabryczne stawili się udrędnym Rzeczypospolitej z piecezami w ręku. Brama jednak była zamknięta, na wezwania zaś w imieniu prawa odpowiadać odmowa i wymyslaniami. Cała osada fabryczna, czując się zagrożoną w swych uczuciach i przekonaniach religijnych, stanęła na stopie wojennej; z drugiej strony sprowadzono ślusarzy i ubrojonych sandarmów.

Gdy rozwarły się wreszcie wrzacieści fabryczne, dzięki pomocy ślusarzy i naciśkowi szturmujących, padło kilka strażów i oblagający ujrżeli tłum astatyzowanych kobiet, ubrojonych w przetrną broń domową, na czele zaś ich samego dyrektora z rewolwerem w ręku. Odpowiedzialnym wystrzelał. P. Fischer został niebezpiecznie ranny w szyję, jedna z kobiet, która wylała na zandarmu brzydka zawartość pewnego naczyńa, zabita została na miejscu, jedna z dziewczyn ranniona mniej niebezpiecznie jak i dwóch sandarmów. Tak tragicznie zakończyła się ta awantura.

Zajęcie to wywołało oczywiście oburzenie w całym obozie konserwatywno-klerkalnym, a gabinet wysłuchał musiał energicznej interpelacji, podjętej przez hr. de Mun i popartej przez całą prawicę. Większość republikańska dała oczywiście gabinetowi, po mowie ministra wyznań i oświaty, wotum zaufania.

Fakty powyższe dowodzą, jak rozdrażnione są umysły we Francji i do jakiego natężenia dochodzi nienawiść między walczącymi z sobą obozami.

P.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Sejmy niemiecki i pruski odroczyły swe posiedzenia, pierwszy zbierze się dopiero 17 maja, drugi zaś wczesniej, ponieważ musi śpieszyć się z zatwierdzeniem projektów antipolskich. W ostatnim tygodniu odwołano kredyt na wzmocnienie szkół niemieckich, policy i centrum znów protestowali, ale wobec zwartej większości opozycja traci wszelkie znaczenie i głos jej przebrzmiewa bez echa.

W wiedeńskiej Radzie państwa przyjęto w ostatnim czytaniu ustawę o pospolitem ruszeniu. Członkowie klubu niemieckiego głosowali przeciw niej, chociaż rząd przedstawiał, że idzie tu o obronę kraju. Bez względu na opozycję wywołała oburzenie nawet w sferach niemieckich. W Krakowie na miejsce Zatorskiego wybrany został poseł adwokat Machalski. W Tarnowskim w kurii włościańskiej przeszedł ks. Kopyński, którego salachta ogłosiła jako demagoga a władza duchowna zmusiła do złożenia mandatu. Obecnie nie ogłoszono jego kandydatury, chłopci jednak wybrali go ponownie. Fakt ten nabiera znaczenia w związku z wieściami o burzeniu się włościan w powiecie tarnowskim i sąsiednich.

Projekt samorządu w Irlandji przeszedł w pierwszym czytaniu, więc chociaż drugie dopiero stanowczo decyduje o przyjęciu bilu, spodziewać się można, że zostanie zatwierdzony, zwłaszcza iż Gladstone poczynił pewne ustępstwa. Prawo o reformie stosunków relnych wniesiono również do parlamentu, wykup będzie dobrowolnym, na pierwsze lata rząd przeznacza sumę 50 milionów f. szt. zamiast 120, jak mówiono. Po oświadczeniu Chamberlaina, że zmienne i uzupełnione projekty mogą być przyjęte, wydaje się prawdopodobne ostateczne zwycięstwo Gladstone'a, zwłaszcza kosztem pewnych ustępstw, opozycja bowiem przeciągnąć winna na swoją stronę około 80 głosów partji liberalnej.

Sprawa wschodnia wchodzi w nową fazę, czy politycy zwróceni są na Liwadię, gdzie przebywa Cesarz rosyjski. Do miejscowości tej udało się obecnie nadzwyczajne poselstwo tureckie, któremu towarzyszą posł rosyjski w Konstantynopolu Nelidow i posel rosyjski w Atenach. Ministra wojny zawezwał telegramem z Petersburga, jakie postanowienia wyda z Liwady, pozostało to zagadką nawet dla wszystkich wiążących korespondentów; niektórzy, zwykle dobrze informowane gazety rosyjskie zapewniają tylko, że odtąd polityka Rosji będzie stanowowa, bo cesarz już pokorzył kres intrigom i odrzucił rozważania spraw bałkańskich.

Tymczasem książę bułgarski, który podpisał wprawdzie uchwale konferencyj, ale opatrzył ją zastrzeżeniami, przyjął firman sultanski i jakby nie go nie obchodziły postanowienia dyplomatyczne, przyspiesza faktycznie zjednoczenie obu krajów i zwołuje zgromadzenie narodowe wspólne dla Rumelji i Bułgarii, co sprzeciwia się nowej uchwale mocarstw. Z tego powodu posypią

się zapewne nowe protesty, nowa konferencya, która, choć nie chcą, zgodzi się z faktem dokonany, tylko dla honoru Europy obmyśli mu jaką nową formę.

Grecy oczekają na przyjaźnią zbieg okoliczności. Oznagoręczy się skorzystali z powikłania stosunków, wkroczyli na terytorium tureckie i zajęli kilka wsi, które im niegdyś przynależało podobno jedna z licznych komijay granicznych. Zarząd ten załatwiono już zresztą na zasadzie: *beati possidentes*.

We Francji w Roubaix i innych miejscowościach sąsiadkich z Belgją wybuchły drobne buntury socjalistyczne, istnieje wszakże obawa, że zaburzenia przyjął mogą szerzej zakres.

W okolicach Medjolanu znówu powtórzyły się rozruchy chłopskie, w których przyjmują udział robotnicy wiejscy. Ponieważ i proletaryat miejski w Lombardji burzył się niedawno, rząd włoski przedsięwzięł surowe środki ostrożności z obawy, żeby powstanie nie objęło całej prowincji.

Te „konwulsyjne drgania“ czwartego stanu powtarzają się coraz częściej, ale zajęte sprawami dyplomatycznymi rządy za mało zwracają na nie uwagi.

BADANIA NAUKOWE.

OBYCZAJOWE CZYNNIKI WŁASNOŚCI.

I.

Obok warunków przyrodzonych, stanowiących materialny podkład własności, na rozwój jej i kształtowanie się wielki wywierają wpływ czynniki natury moralnej, jak uczciwość, oszczędność, pilność itp. Z pomiędzy nich ważne są nie tylko te, które w bezpośrednim z własnością zostają związku, ale i te, w których spójni takiej na pierwszy rzut oka dopatrzeć niepodobna — np. poczucie solidarności rodzinnej, żywołność, prawdomówność, umiarowanie, zamiłowanie do porządku. Miłość ku bliskim swoim staje się dla głowy rodziny bodźcem najsilniejszym do pozytywnej działalności, podczas kiedy ci bliżej znówu, w skutek łączących ich węzłów, czują się w obowiązku szanowania tego, co nabyli ich ojciec. Dobry rodzice nie pragną niczego więcej, jak możności zapewnienia dzieciom swego dobrobytu w przyszłości, skąd same przez się wynikają udzielone odpowiednie wskazówki, zaskiki i poparcie, oraz dążenie do ograniczania się w potrzebach i do gromadzenia zasobów. Walki pomiędzy kapitałem a pracą w znacznej części są wpływem braku dobrej woli obustronnej, a tem samem nieposzanowania własności i praw sąsiednich. Umiarowanie nie tylko sprzyja zdrowiu i zdolności do pracy, lecz nadto, przy wzrastającym poziomie cywilizacyjnym, wiedzie za sobą troskliwie zachowywanie dóbr materialnych i sprawiedliwość ich podział. Nadmiar używania natomiast podkopuje siły fizyczne, niweczy podstawy bytu gospodarczego i nieczułym czyni na wszelkie wyższe prawa. Co do zamiłowania porządku zaś, to tylko przy jego istnieniu mowa być może o własności w ścisłym znaczeniu, czyli o władaniu tem, co się posiada. Władania tego nie ma, a przynajmniej jest ono ograniczone, skoro właściciel nie umie sobie zdać sprawy, z czego składa się jego posiadanie i gdzie znajduje się każda pojedyncza jego część.

Ociężkowi jest niezmienne i ponęcającem śledzić, jak czynniki te zwolna i stopniowo w pochodzie dziejowym ludzkości torowały sobie drogę, od czasów pierwotnych, kiedy nie znano wcale pojęcia własności i rabunek uchodził za godziwy spo-

sób nabycia, aż do dni naszych, w których własność zwykłym tłomaczonym pewnemi stałemi zasadami i wiązać ją z niemi.

Zadanie w tym kierunku na wielką skalę podjął świeżo, o ile wiemy po raz pierwszy, nie tylko w literaturze europejskiej, ale w literaturach europejskich w ogóle — znany uczony niemiecki Ludwik Felix, którego wyniki badań, owo nadzwyczajnego oczyszczenia, głębokiej wiedzy i nadar trafnych spostrzeżeń, zamierzamy tu w treściwym przedstawić zarysile *).

Autor nie uważa pojęcia własności za coś z góry danego, co do głównej istoty swej niezmiennie określonego, lecz owsem mieni je on chwiejnym wciąż, przystosowującym się do każdorazowego stanu kulturalnego i warunków materialnych i zdolnym do coraz większego udoskonalenia. Podług niego, nie ma na planecie naszej nic stałego, nie trwałe niewstrząśnione. Ziemia nawet objawie się w posadach, wraz z nią droga ciała natura żywa i martwa, żadna zaś co zmian tych nie dokonująca się bez wpływu na stosunki własności w mniejszym lub większym zakresie. Na rozwój jej już to pomyślnie, już niepozywalnie działają zjawiska wzniesienia i spadku gruntu, wstrząsania, zapląszenia przystani i zmian klimatycznych.

Stopniowo uszlachetnianie roślinności i rozmaitych gatunków zwierzęcych zwiększa pożytek materialny i idealny, upowszechnienie ich rozszerza dziedzinę przedmiotów własności i wywołuje nowo, rozwija jej sprzyjające czynności, podczas gdy znikanie roślin i zwierząt rozwój ten tamuje. „Potężniejszemi — mówi Felix — odnowieniami, obfitościami w skutki, aniżeli zmiany podobne, są te, jakim podlega ich współpraca — ożwiok. Rozlegajęcy zakres i udoskonalenie jego wrażeń umysłowych, wzrost sił jego duchowych i powstałe z tego źródła różnorodne nowe potrzeby zaostrzają biegłość w najobszerniejszym tego słowa znaczeniu, rozwijające się zdolności umysłowe i obyczajowe współwzodniacą z sobą w celu nakłonienia go do coraz właściwszego korzystania z sił swoich, podczas gdy w szczególności, wynikające z podniesienia uczuć moralnych żywołność, oraz głośniejsze dopuszczanie do udziału w dobrodziejstwach własności kół dawniej upośledzone. Przebieg ten nie wszędzie odbywa się równomiernie, a nigdzie bez czasowych przeszkód i pozornego lub rzeczywistego cofania się, pomimo to jednak rezultaty dodatnie zawsze mają przewagę.“

Z tej powszechności zmian autor wywodzi konieczność wiecznego chwiania się wartości, która nie jest niczem innym, jak wyrazem ustawicznie przeobrażającego się stosunku naszego do przedmiotów, również ciągłym ulegającym przeobrażeniu co do kształtu, dobroci i ilości, skąd znów dalej dochodzi do wniosku, że wartość jest cenną czysto-idealnym i pojęciem względem. Z tych zmian też nauka najoczywistsza, że rodowi ludzkiemu nieprzeznaczonym jest trwałe utrwanie spokoju, że mu nie wolno nie zwracać uwagi na wypadki zewnętrzne. „Toujours en vedette“ — powinno być hasłem gospodarującej ludzkości, której warunki bytu zmieniają się co chwila; bacznie śledząc postęp wszelki, powinna ona wciąż starać się żyć swie i pracę przystosować do tych zmian. Odwagi przymtem dodaje myśl, że ludzkość nie tylko zdolna jest do udoskonalenia, lecz nadto konieczność udoskonalenia jej musi, aby wyjść zwycięsko z nastrożającej jej jej wciąż pod nowymi postaciami walki o byt.“

Przechodząc do danych historycznych, autor zapowiada, iż będzie musiał prze-

*) Ludwik Felix. *Der Einfluss der Sitten und Gewohnheiten auf die Entwicklung des Eigentums*. Lipsk. 1886, str. 462.

wasnie kreślił obrazy stanów niemoralnych i z tego powodu zastrzeżę się przed zarzutem, jakoby miał zamiar stosunki malować czarnie, aniżeli były w istocie. Okoliczność że tłumaczy po prostu tem, iż przy mniej więcej posuniętym stopniu cywilizacji prymitywii obyczajowo i bezpośrednio na własność oddziaływające, tak są zrozumiałe, że zazwyczaj nawet nie wspominamy o nich, oraz że skutki czynów niemoralnych są widoczniejsze, a stań odcięci ku pamięci potomnych podawane, aniżeli pierwsze.

W stanie najprzerwotniejszym rodu ludzkiego brak zupełnie prymitywów obyczajowych, stanowiących niezbędny warunek wszelkiej własności, tam zaś, gdzie faktycznie istnieje posiadanie, trudno go utrzymać, a tem mniej pomnożyć, z powodu niedostatecznego bezpieczeństwa. I dziś jeszcze wiele ludów, prowadzących życie pierwotne, dopuszcza się rabunku i kradzieży bez świadomości bezprawia, a wojny ich, prawie wyłącznie wyprawy łupieżcze, rozwijają największą ich cnotę—waleczność. Zbojcy, rabusie na drogach publicznych i złodzieje wspominani są w najdawniejszych zabytkach dziejowych. Mówią o nich księgi Rig-Vedy, a jedna z legend indyjskiej opowiada o dwu duchach nieczystych, Bala i Pani, które skradły bogom kramy i ukryły je w jaskini. Jak naivnie pojmowali podstęp i rabunek grecy z czasów Homera, dowodzi podanie, według którego Antiolos przez boskiego ojca swego Hermesa obdarzony został zdolnością przeinaczania postaci przedmiotów skradzionych w ten sposób, iż nie mogli ich poznać prawdzi właściciele. Słowo dane u ludów pierwotnych śadnego nie ma znaczenia, pojęcie kredytu jest im zupełnie obcem, w wyjątkowych wypadkach zaś, w których kredyt jest udzielać, pobierane są tak wysokie procenty lichwiarskie, iż w skutek nich dość rodziny nierzadko padają w stan niewolnictwa, jak to szczególnie widzimy u indyan w środkowej Ameryce i u maledyżczyków. W Kano np. zwykła stopa procentu jest sto za sto, bez względu nawet na czas, którego wartości mieszkający tamtejsi cenili nie umieją. Znany podróżnik Barth przytacza, iż pożyczający tam 500,000 muszel, wartości dwustu dolarów, musiał się zobowiązać do oddania podwójnej ilości w przeciągu czterech miesięcy. Następstwem braku ości i wiary na nieszczęsnych społeczeństwach jest także pieniądza. Żądza ta, podług Waitza, doprowadza nie rzadko do ruiny murzynów złotego wybrzeża. Mieszkańcy Angolii bezustannie wiodą spory o posiadłości swoje i z powodu bagatelnych często przedmiotów rozpoczynają bardzo kosztowne procesy. Surowość pierwotna prowadzi niejednokrotnie do niszczenia przedmiotów własności, szczególnie zwierząt. Livingstone oskarża się na ciagle choroby bawołów z powodu niemilosierdnego ich przeciągania, oraz na to, że wielbiący, bawoły i muły najeżdżający padają w skutek tego, iż sepielowie bezpośrednio godzinami całemi wystawiają ich na żar słoneczny. Oczywistym skutkiem opieki ości u niektórych ludów w stanie pierwotnym będących jest lekceważenie rzemiosła. Maorisowie (z Nowej Zelandy) nie chcą zajmować się żadną pracą rzemieślniczą, gardząc każdą. U beduinów praca wogóle do dziś jeszcze uważa się za tak hanbiącą, że śladu z nich nie poślubiłby córki rzemieślnika. Natrętność zebrań, według słów podróżnika Burtons, szczególniej jest u nich, aniżeli pożyteczna działalność. Rozkoszna krajina Zanzibaru potrzebuje grobli odprawy i kanałów. Ale najbardziej zabójcze epidemie wydają się leniwiemu arabowi złem mniejszem, aniżeli praca, jakiej wymagałoby zbudowanie grobli i wałów. U gannełłów na Teneryfie każdy achimensej, który własną ręką dołż kocy, traci szlachetwo. Pse-

ciwawage przeciwko wszystkim pierwsiom wrogim ubożeniu a tem samem i rozwojowi własności — stanowi u ludów pierwotnych gościnność.

Zwracając się do czasów historycznych, Feliks powiada: Jakkolwiek przykre jest dla miłośnika starożytności klasyczny widok, jak ulubione ideały młodości jego we mgłę się rozpylają — sumiennemu badaczowi zamilić nie wolno, że u dawnych greków uściwioła i dobra wiara były bardzo rzadkie, podstęp natomiast wszelkiego rodzaju, jako następstwa chciwości bez granic zdarzały się nadzwyczaj często. Chciwość razynia ujawnia się za rzeczywistej głównie w nieochamowanej żądzy posiadania ziemi. Żądza ta była najważniejszą przyczyną walk pomiędzy patoryczymi a plebejami, z których pierwsi samowolnie przywłaszczali sobie wyłącznie użytkowanie z gruntów wspólnych podbojami zdobytych (ager publicus), zwolna dzierżawców plebejskich zastępowali niewolnikami i obok tego najrozmaitsze plebejusom wyrządzały krzywdy. Dostyd wspomnieć o ścięciu Spuriusa Kasjusza z powodu zaprojektowania pierwszej ustawy rolnej, o skazaniu na śmierć Spuriusa Maeliusa za tanie sprzedawanie zboża podczas drożyzny, o karze śmierci poniesionej przez Marka Manliusza z powodu płacenia długów plebejskich i okorowania gruntów swoich na ten cel — czyn, na usprawiedliwienie których wymysłono zamiary jakoby zdrady stanu — dalej o długich walkach, jakich potrzebobyło dla przeprowadzenia ustaw korynckich, wreszcie o przewrótach które nastąpiły za przewodem Gracchów. Jaki zakres stopniowo przybierał podstęp w stosunkach przemysłowych, o tem najlepiej świadczy drugi spis fałszerstw rozmaitych towarów, podany w dwunastej księdze historii naturalnej Pliniusza. Podobnie, jak w Holandii, tak samo i w Rzymie służba publiczna często stawała się źródłem bogactw ogromnych. Podług słów Plutarcha Markowi Brutusowi — który, jak się zdaje, prowadził także lihowe na wielką skalę — stanowiło jego podczas wojny i pokoju niezwykle zapewniało wpływ potężny, lecz nado ciągnął z niego i skarby wielkie. Cyvero w mowie za ustawą Maniliusza zarzeka Lukulusowi prowadzenie lihowy pieniądzy państwowemu. Wprost przerażającymi były dzierżawy, jakich w prowincjach dopuszczali się gubernatorowie i ich zausownicy. Wyszysanie prowincji ze strony urzędników rzymskich uważane było za coś tak naturalnego, że często otwarcie uspakajano wierzących widokami na nie i że Cyvero miał prawo poczytać to za szczególną zasługę bratu swemu Quintusowi, iż tenże, mając sobie powierzoną władzę najwyższą w prowincji azyatyckiej, kradzieży się nie dopuszczał. Gospodarka tytu prawdziwych paszów dosięgała szczytu bezczelności w postępowaniu Verresa w Syccylii. W jednej z mów swych ognisty woła Cyvero: „Cala Syccylii, gdyby jednym głosem odezwać się była w stanie, rozbrzmiałaby skargą: wiele było złota, srebra i dzieł sztuki w miastach moich, mieszkaniach i świątyniach, tysiąc mi zabrał Kajusz Verres: dlatego słusznie domagam się od ciebie 100 milionów sestercyj!” Do plag świata starożytnego, zarówno w Grecyi, jak i Rzymie, tamujących rozwój własności i podkopujących wszelki byt ekonomiczny, należały także rozruchność, maroństwo, zbytki wszelkiego rodzaju, pasyoryzmy czyli po naszym pieczęciarstwo, podstępne pretendowanie o spadki. O jednym z późniejszych cesarzy, o Karakalli, Herodyan utrzymuje, iż w ciągu jednego dnia zmarnował tyle, ile zebrał Septimus Severus w ciągu lat 18.

(D. c. n.)
Ad. J. Cohn.

LITERATURA I SZUKA.

PIOTR CHMIEŁOWSKI.

II.

Nie jest on uczonym takiej miary i metody, jak np. Scherr w literaturze niemieckiej, ale też nie jest literatem dziennikarskim. Powiedziałbym — że jest uczonym i publicystą w jednej osobie, albo ośmą pośrednią między pierwszym a drugim. Ale w ocenie jego działalności trzeba przedewszystkiem pamiętać, w jak ciężkich pracach warunkach. Kiedy trutnie i darmozjad zajmują u nas najwyższe stanowiska, albo pedzą życie przyjemnie i wygodne w „dobrych” kółkach, on bez urzędu, bez imienia, bez zapomóg, w walce o byt dorabiał się sławy, a kiedy publiczność i publicystyka oddały jego pracę, ludzie zawzięci albo dotknięci jego krytyką mają mu ciagle coś do zarzucenia, zwłaszcza kiedy nie on sam, lecz ktoś go zaleci jako kandydata do zaszytniejszego mecenasa.

Co prawda, Chmielowski nie wskazuje nowych dróg ludzkości, nie jest nawet pisarzem na wkrótce oryginalnym, zwłaszcza w pierwszej dobie swej działalności literackiej. Nie gonię jednak za oryginalnością, która uważa za „niemożliwą”. (? Red.) stara się przyswoić sobie prace i pomysły najlepszych pisarzy zagranicznych, nie bez krytyki, a nadto z uwzględnieniem potrzeb miejscowych. Nie wyczerpuje czasem przedmiotu skutkiem braku bibliotek, prac przygotowawczych lub — czasu. Ale kto uprawia tę niwę, wie, jak trudno skupić w całości materiał rozproszony po piśmiach peryodycznych i broszurach, jak mało u nas ciągłości w robotach literackich, jak każdy niemal na nowo zaczyna pracę, nieraz w znacznej już części dokonaną przez innych.

W badaniach swych nie ogranicza się Chmielowski do pewnych wypadków i postaci, już mniej więcej znanych i oświetlonych, ale stara się przedewszystkiem o karbowanie nowin, przerzucając od jednej osobistości do drugiej, z jednej epoki w drugą (choćżeś najobciężniej zajmuje się czasami nowymi), a dawniej wychodził nawet po za granice literatury. Abyś wyobrażenie czytelnikom o rolegość i romantyczności jego studyów, wymienię tu kilkanaście ważniejszych.

W szkicu psychologicznym: *Gmeca fantazyi*, streszczającym rezultaty nowszych badań, wykazującym, że fantazyja nie jest odrębną władzą ducha, ale tylko jedną z jej form, w niczem się nie radykalnie nie odróżniającą od wszystkich innych, że zarówno natłoczenie poetyckie, jak i wątki mityczne są produktem kojarzenia wyobrażeń i w składzie swym nie nadprzyrodzonego nie przedstawiają, korzysta głównie z prac Taine'a, Despine'a i Cohena. Różnicę między fantazyją a rozumem tak określa: „Fantazyja jest to taki proces myślenia, w którym wyobrażenia zmieniają się i kombinują pod kierunkiem naszych uczuć na podstawie asocjacji swobodnej. Rozum zaś jest to taki proces myślenia, w którym wyobrażenia, przeobrażone na pojęcia, zmieniają się i kombinują pod kierunkiem obserwacji i doświadczenia również na podstawie asocjacji, ale skrópowanej jednym lub kilku pojęciami, które miano prawd noszą.”

W rozprawie doktorskiej: *Die organischen Bedingungen des Willens* (Lipsk, 1874), stojąc także na stanowisku nowszych badań filozoficznych, rozpatruje powstanie woli w warunkach organicznych, a więc związek, zachodzący pomiędzy psychicznymi objawami woli i procesami fizjologicznymi, wywierającymi wpływ na owo-

jawy — i wykazuje, że wola nie jest czemś pierwiastkowym, prostym, lecz nabytem, złożonem.

Po tych fizjologiczno-psychologicznych studiach, w których samodzielnosci nie okazał, rzucił się Chmielowski do literatury i pedagogii. W tej ostatniej działał teoretycznie o wiele więcej, niż w zawodzie praktycznym, bardzo ograniczonym. Najważniejsze jego zasady pedagogicznie złożone są w dziełku: *Co wychowanie z dziecka zrobić może i powinno* (Warszawa, 1874). Zarzeka on szarżewiały już mechanizm dydaktyczny, a kate harmonijnie rozwijając w dziecku rozum i uczucie, zmuszając je do wydawania własnego sądu o każdym przedmiocie, który dobrze, *naocznie* pozna. Słowem, wprowadza system okowy — zamiast opowiadającego, dowodzącego — zamiast apriorystycznego. W wykazaniu młodzieży akcentuje kierunek praktyczny, chce więc wprowadzić do nauki szkolnej wykład najważniejszych zasad etyki, nauk społecznych i psychologii. Wielką rolę w wychowaniu przewidział rodzinie: „Dom — powiada — powinien dać dziecku nie tylko życie fizyczne, nie tylko środki do jego utrzymania, ale przede wszystkim musi wyrabiać w niem poczucie przyszłych obowiązków.“ „Szkoła nie może nauczyć wszystkiego, są pewne prawdy, dla których dom jest schronieniem i szafarzem...“ (*Opiekun domowy*, 1872, nr 17-ty).

W *Książce do czytania* (Warszawa, r. 1875) dla dzieci, poczynających rok ósmy, treść poczerpnięta głównie z dzieł życia rozczyszczonego. Nie ma tu już powieści fantastycznych (kłębów, baśni itd.), działających szkodliwie na dzieci, „ale aby mało uwzględnić jeszcze nauki przyrodnicze i życie społeczne.

W dziełku o *Poety w wychowaniu* (Wilno, 1881) podnosi Chmielowski kwestję żywota. Wiadomo, jaką rolę odegrała poezja w epoce romantycznej: uważano ją „za matkę wiary i prawdy, za bóstwo narodów.“ Dopiero nowsza, t. z. pozytywna filozofia przyznała sztuce dodatkowe tylko znaczenie, czyniąc z bóstwa piękną, szlachetną — zabawkę. Chmielowski zajmuje pośrednie stanowisko. Zdaniem jego, poezja, jako najpopularniejsza wyobraźnielka sztuk pięknych, jest objawem a zarazem warunkiem normalnego, duchowego życia narodów, staje na równi z wiedzą i ze wszystkimi formami życia społecznego. Nie powinna ona być kierowniczą naszych prac politycznych i społecznych, ani prawodawczynią naszego rozumu, ale winna wszędzie nam towarzyszyć, ażeby wszystkim, co jest w nas twórczego — obudzić, rozróżnić do działania natężyć. Przestrzega jednak na innem miejscu przed zbyt niemi rozgałęzieniem się beletrystyki. „Należy nam znaczenie ograniczyć zakres wpływu, jaki beletrystyka na umysły nasze wywiera. Nauki zmuszają do jasnego i ścisłego rozumowania, beletrystyka zaś może częstokroć do fantazjowania i marzycielstwa pobudzić. Prawda, że z ogniska poezji może nieraz wykroczyć błyskawica natężenia, która nas do szlachetnych czynów pobudzi, ale to nieraz robi z człowieka kwilące dziecko, niezaradne stworzenie. Romans może wprowadzić na bezdroża fantastycznych utopii.“ „Nauka tylko jest pożylnym pokarmem duchowym, beletrystyka, przynajmniej taka, jak ją u nas pojmują, może być mniej lub więcej przyjemną rozrywką.“ (*Opiekun domowy*, 1872, nr 17).

Imno prace pedagogiczne Chmielowskiego należą do historii pedagogii — jak np. rozprawki: „Dziesięć lat z dzieł wychowania w Polsce“ (*Bluszcz*, 1877), streszczająca ważniejsze dzieła pedagogów z XVI wieku, mianowicie: Maryskiego, Modrzejewskiego, Herberta Lorichiusa i Gliçonera. Autor przechodzi do wniosku, że nie reformacja, a świadczący tylko rozmożnienie szkół,

a' przynajmniej większy wpływ humanizm i rozbudzenie nauk klasycznych. Artykuły w *Encyklopedji wychowawczej*, podające bogaty materiał przedmiotowy, umiejętnie użytkowany, jak: Leon Borowski, Kazimierz Brodziński, Tadeusz Czański, Tom. Dziekoński — należą do najlepszych monografij pedagogiczno-literackich, jakie posiadamy. W „Ozasopisaniu dla dzieci“ (*Encyklopedia*, 1884) zamocowano główne etapy, jakie przechodziła peryodyczna literatura той gałęzi, zaczynając od *Rozrywek dla dzieci* Tańskej, a skończając na *Wiosnach rodnymych* Zaleskiej (1880). Studium to względnie nie tylko wydawnictwa warszawskie, ale także poznańskie i galicyjskie. Artykuł o Elbie (*Encykl.* III, 511—20) jest uzupełnieniem pracy dawniejszej p. t.: „Pierwsza w Polsce książka o wychowaniu“ (*Bluszcz*, 1879, nr 1—5). Mowa tu o dziele łacińskim repokiniennem, wydanem pod imieniem królowej Elbiety, żony Kazimierza Jagiellończyka, a traktującym o wychowaniu królewskiego dziecka.

W sprawach społecznych, jeżeli czasem zabierał głos (dawniej w *Przegl. Tygodn.*, w *Niwie* i w *Opiekunie*, dziś bardzo rzadko w *Kuryerze codziennym*, zajmował Chmielowski zawsze stanowisko umiarkowane, skuteczne w pedagogii i w badaniach naukowych, nie wywierające jednak w publicystyce większego wpływu. Dawniejsze artykuły okazują wprawdzie umysł jeszcze niedojrzały, ale jest tam jakieś życie, pewien zapal w przekonaniach, pewna śmiałość w stylu, pewna barwność, czego w późniejszych pracach, wyższych naukowo, darciembyśmy szukali. Chmielowski posuwa teraz w przekonaniach swoich obiektywnie aż do przesady, czystości i jasności języka aż do stywności i bekrwistości. Pióro jego trzese, spokojne, nigdy nie drży, nigdy nie płonie. To, co powiedział raz o innych, można do niego samego odnieść. Nie przelewa on krwi w swoich artykułach, nie zapala stosów, nie stawia przegrzów, nie torturuje osobistości, ale też nie da się ublażyć ani łzom sentymentalnym, ani uśmiechom szalonym, nie ma względu na urząd i powagę, nie robi ustępstw na cześć podłości i służalstwa. (*Opiekun domowy*, 1872, str. 115.) W artykule „Na krancach“ wystąpił otwarcie przeciw wszelkiej *krancowości* zarówno szlachetnej, jak i nikczemnej. „Krancowe — powiada — występowanie w jakimkolwiek kierunku ma też korzyść, że ludzkie gną do niego, jak żelazo do drugiego żelaza namagnesowanego. Gdy się zużyje siła magnetyczna żelaza, odpadają od siebie z brzękiem. Lecz wrogie ani nauka, ani życie praktyczne nie mogą mieć za podstawę czynników krancowych.“ „Praca powolna, nie wywyższająca jaskrawego sztylu nieomylności i namiennej zaciętości, zdobywa grunt prawdy i dobra dla przyszłych pokoleń.“ To umiarkowanie cechuje każdy jego program, niezirający nigdy zupełnie z przeszłością. I tak np. uważa on dobrobyt materialny za „naturalną i konieczną podstawę rozwoju umysłowego i społecznego“, ale „sterem są przewodnie idee wypływające przez poezję, ukochana przez ludzi“ (*Opiekun domowy*, 1873, nr 24.) W studiach estetycznych, umieszczonych w dawniejszym *Niwie*, jak: „Artyści i artyzm“ (1873, nr 40), „Kremor i Taine“ (1875, 149—196), a jeszcze bardziej w artykułach filozoficznych: „Metafizyka i pozytywizm“ (*Niwa*, 1876, str. 7 i n.), „Apokalipsa z roku 1878“ (tamże str. 639), „Pierwszy uczeń Comte'a“ (tamże, 1875, VII, 799) widac przejmie się zasadami ujętymi w owym czasie filozofów: Millsa, Spencera, Renana, Taina, ale bez własnych oryginalnych dodatków. Bo — jak reklamują — Chmielowski filozofem nie jest.

Za to jego studia nad literaturą polską, zwłaszcza z XIX w. mają wielkie, niez-

przecone zalety. Pomijam zestawienie przekładów Horacego i Cyceona (w *Bibl. warsz.*, 1870 — 1872), okazujące razem z krytyką przekładów Sofoklesa i Homera (*Atenum*, 1876, 1877) niepospolitą znajomość filologii klasycznej; pomijam zarys biograficzno-literacki o Goethe, osnuty na podstawie znanych odczytów Grimma (*Atenum*, 1879), rozprawę o Towiańskim i Mickiewiczu (tamże, 1879) opartą na listach i dokumentach wydanych przez syna poety w sprawie towarzyszenia, a przedmiotem pokrewną szkieletu z ostatnich lat J. Słowackiego (*Atenum*, 1877). Pomijam mniej udatne, albo przeciętnie nowsze studiami rozprawki z XVI wieku, jak zestawienie Kochanowskiego z Gószczyńskim w „Sobótce“ (*Tyg. ilustr.*, 1876), ostatnie lata Jana Kochanowskiego (w *Kłosach*, 1885), tudzież szkice z XVII wieku: „Epopeja z czasów saskich“ (*Atenum*, 1883) i zapomniany poemat W. Potockiego (Virginia) (*Tyg. ilustr.*, 1881), a wydawnictw znakomite prace monograficzne o naszych powieściopisarzach dawniejszych: Kaczkowskim, Rezwuskim i Krasicim (w *Niwie*, 1876—9), oraz udatne szkice nowszych: Zacharyaszewicza, Sadowskiej — Zbigniew (w *Opiekunie* dom., 1873), Czapkowskiego (w *Biesiadzie lit.*, 1876), a szczególnie Jęka (w *Opiekunie*). Do najlepszych studiów Chmielowskiego należą: „Liberalizm i obскурantyzm na Litwie“ (*Atenum*, 1883), gdzie po raz pierwszy przedstawione wyraźnie dwa kierunki rozwoju umysłowego na Litwie w brasku doby romantycznej (1815—1823), jeden Ignacy do filozofii XVIII, to nasz wiek oświecenia, drugi porażony w dogmatyzmie i reakcji. Autor zestawia z wielką trafnością znamienne rysy epoki, ogarnął cały jej ruch społeczny, obyczajowy i umysłowy, czasem tylko uścisnęło jej skwapliwie podciągnąć wszystkie objawy myśli ówczesnej pod jeden z dwóch wskazanych prądów.

(D. c. n.).

Literatura czeska.

I.

(Wznowienie sporu o autentyzność rękopisów królówodworskiego i zielonogórskiego).

Do jakiego stopnia dochodzić może rozkazywanie namietności mas z powodu kwestji literackiej, ten tylko pojmie, kto przez ostatnie tygodnie bawi w Pradze, czyta broszury, artykuły i rozprawy, przelubnie się rozmowom i bywa na wykładach publicznych o zabytkach starej czeszczyzny, znanych pod wyżej wypisaną nazwą. Jakież są przyzwoite tak żywego zajęcia się ogółu pytaniami z rzędu takich, które zwykle zlatują się po cichu, w szuflce gronie uczonych i specjalistów?

Ta głównie, że wiara w autentyczność pieśni królówodworskich i zielonogórskich zakorzeniła się w Czechach i rozrosła w świadomości ich z całą siłą dogmatu. W ciągu lat siedmiedziestciu, od czasu pojawienia się ich na świat, weszły one w krew i ciało całego narodu: Jungmann kasze ich słowo wołali do wielkiego słownika swojego; Palacki oparł na nich swoje wywody historyczne; nie ma wypisów czeskich, w którychby na pierwszych kartach nie figurowały wyjątki z tych rękopisów; w szkołach uczniowie uczą się ich na pamięć; gramatyka i nowy obszerny słownik czeski Kotta na każdym kroku powołują się na ich formy; sztuki piękne oserpia oddawać z nich natężeniem; posgi, malowidła, dramata, opery wyrosły i bójne skazywały na gruncie pieśni owych; imiona ich bohaterów dawano bywałym ródzonym się dzieciom, stowarzyszeniom; słowem jak niegdys Biblia w kierunku ro-

LIBERUM VETO.

I p. Dygasinski! — Wojna trojańska. — Wyraz zrozumiałej zagadki. — Usprawiedliwienie i bajka. — Wal z resztek kuchni literackiej. — Kazanie o powrociech w domu kazi. — Optymistyczne przypuszczenia. — Z za masz. — O co właściwie chodzi. — Piekne znamie. — Za receptę *Gazecie Lwowskiej*. — Rada i zdawienie.

I p. Dygasinski na tej wojnie trojańskiej, która nie doznaje się swego Homera, ale Offenbacha mied będzie? No, no, widocznie dzisiaj „gorączka jakaś” pośiła wszystkich w „szalony kraj”. I p. Dygasinski!.. tak — i p. Dygasinski!.. Czemuż w pulkieru i helmie, tylko w jaskrawej kurcie, w zabawnym kółpaku i zbiczkiem? Strój musiał być zastosowany do literackiego karawaju. W takich chwilach należy zrzucić tego, zwłaszcza jeśli się ma pod spodem barwną kurtę i nadziejcie odegrania roli Achilleasa. A stróż achajów, oblegających naszą Troję, niktylek tych, co się już „oburzyli”, ale i tych, co się jeszcze „oburzają”. p. Dygasinski może być uznany za bohatera. Jakiś mełny tu Achilles, stojąc na rydwanie zaprzęganym w p. Grusoskiego, włożył mnie po szpaltach *Wędrownika* i pokrzykuje: „Ho, ho!” Jest to bynajmniej w całym jego ataku wyraz, który rozumiem. Bo czego szan. mściwicieli właściwie chce, jakiej ja — według niego — odmówił „innej satysfakcji” owej „bezbrotnej kobiecie”, która ode mnie żadnej nie żądała i podała skargę do sądu, zanim krytyk *Prawdy* mógł na jej wezwanie odpowiedzieć, co znaczą półświatkowe odczyty z groźnych mgłów, którzy w takich wypadkach „daliby sobie radę” oraz podkreślenia pewnych słów mojej obrony — doprawdy nie a nie nie wiem, chociaż p. D. swoimi artykułami najbardziej kształci ludzką domysłowość i to właśnie w kierunku jego intencji. Może dlatego, że zniechęcony własną niepojętością dawno te artykuły czytał przestawem? Natomiast: „ho, ho!” przyjmuje — jest to objaw dobrego humoru, przypieczętowany do wesołego podskoku, echo zapustne.

Zrzekając się wszelkiej otwarcia Szamam tajemniczości i odgadnięcia krytycznej miki szan. pedagoga, nie mogę zaniechać próby usprawiedliwienia mu się z tych zarzutów, w których, niby w klatce, świergocze: to jak gdyby jego pretenzja, to jak gdyby cudza krzywda. Mianowicie p. D. ze szczególnym zapamiętaniem broni upolędzonej przeze mnie „miernoty”, którą mam „ograniczać”, przyczem skromnie spuszcza oczy. Jeżeli istotnie sprawiedliwość tak daleko zawiodła autor *Psychologii* i wielu powiastek, to przypominać mu, że *Prawda* nie „ograniczała” go wcale w twořości, gdyż ani o jego płodach nie wspominała, ani przeciw niewieściemu ich ojcu wawrzyń nie zakładała protestu. Jeżeli zaś ta obrona dotyczy wyłącznie p. Zapolskiej, dla której p. D. domaga się przyznania choć małego talentu, pozwól sobie przytoczyć krótką bajeczkę. Gdyby bajeczkę to dzieci nasze opowiedziały swym wnukom, te zawołabyły: „Ho, ho!” — my jednak będziemy latowali wierszami.

Jest pismo w Warszawie, w którym przyszły etnolog dojrzy podobieństwo do wadł nadmorskich, utworzonych z resztek kuchni człowieka przedhistorycznego. Wszystko tam jest: i kawałek zdrowego mięsa, i zwiędła zielenina, i lupiny z owoćmi, i pierze, i zgnyły kartofel. Najobciężniej wszakże osiadła w niem krew porzniętych powieściopisarek, zabijanych tępymi nożami. O jednej z nich, emoniej, krytyk tak się wyraził: „Raz puściwszy się na *Balowe sceny*, p. Hajota tchu złupnąc nie mo-

liżnym, tak poezye rękopisów tych we względnie narodowym przysięgach i przeniknięciu w ciągu pół wieku całe społeczeństwo czeskie, zrosły się z wyobraźnią i pamięcią ludu.

Druga przyczyna niezwykłego rozgłosu i roznamienienia toczącej się obecnie walki jest nieaktowne i niewczesne występowanie prasy codziennej. Krzykliwa a szowinistyczne *Národní Listy*, z p. J. Grégorem z przodu, a trzydziestka przeszło tysięcy abonentów z tyłu, podniosły spór o rękopisy do potęgi pytania: „być albo nie być”, wystawiając wątpliwości o ich autentyczności jako przeniewierczych napastników na świętość narodową. Prócz tego wielu niepowolanych uczuło się w obowiązku bronid zagrożonego skarbu wszelkimi sposobami: piosenką satyryczną, poljanek; ba, nawet zanosiło się na jakąś burdę w uniwersytecie przeciwko jednemu z profesorów „napastników”; ale młodzież okazała się rozsądniejszą od dwa razy od niej starszych podnoszących.

Zresztą, działało się z tym jak i ze wszystkimi dogmatami na świecie: od chwili stężenia ich w obowiązujący artykuł wiary podnosili się suchawale głosy niedowiarków. Starsi Dobrowski umarli w zapachnionych herezjach. Młodzieńcy Fejfalik usiłowali całą siłą dowodów naukowych i isyderstwa podkopać wiarę w bożyszcze, kto wie jak daleceby się mu to udało, gdyby śmierć nie porwała go w kwiecie wieku. Szemhera całe życie gorliwym był wyznawcą czci i wiary w świętość rękopisów; ale przed śmiercią zwątpił ostatecznie i umarł herezykiem.

Wszelako ogromna większość i to niktylek ogółu, ale literatów i uczonych czeskich nie dała się zachwiać pociskom sceptyków. Cicho dziś żyjące pokolenie wyrosło w wierze i miłości ku szanownym zabytkom.

Od lat kilkunastu żaden głos nie ozwał się przeciw. Zdawało się, że sprawa jest ostatecznie i na wielki załatwiona i ustalona. Ogłoszone niedawno pyszne wydanie rękopisów w wizernej podobiznie fotograficznej, a najczystszy i zarazem najzapalczywszy obrońca ich prawdziwości, profesor M. Hattala rozpoczął drukować problem obszerniej monografię, która z gruntu wykorzenie miała rozsiadki snujących się jeszcze wątpliwości.

W tem uderzył piorun z pogodnego nieba. W ostatnim tomie wielkiej *Encyklopedy Bracha* i Grubera nadeszła kolej na głoskę, k, a z nią na wyraz „Königshofer Handschrift”. W artykule, napisanym poważnie i przedmiotowo, wyrażono pod koniec życzenie, aby, dla stłumienia i usunięcia mezbnych wątpliwości, dokonano raz jeszcze chemicznego i paleograficznego zbadania rękopisów. Podpisat się pod artykułem profesor wszechznany czeskiej Jan Gebauer, specjalny znawca gramatyki historycznej czeskiej, niezmordowanie pracujący od lat kilkudziesięciu nad ułożeniem wielkiego o niej dzieła, zaszczytnie znany z licznych prac czeskich i niemieckich o tym przedmiocie, a do tego ceniony powszechnie jako człowiek niepospalczanej uczciwości i szczerego patriotyzmu. Prawie jednocześnie, w rozprawie „Starośćskie skłony” zódmczem (Staročeská deklinacija záminka, 1885), uczony ten, wyliczył na str. 4—6 że sto óródel dawnej czeszczyzny, nie zanosił w szeregu ich rękopisów w mowie będących, wyrażając się o nich następnie: „Z rękopisów zielonogórskiego i królówdorskiego przykładow nie przytoczam. Język ich, z wielu względów zakrawający na oddzielne narzeczcie i ukazujący zboczenia od normalnej staročeszczyzny, zamierzam rozprawić, wraz z innymi ich znamionami, w piśmie oddzielnem.”

Słowa to prof. Gebaura podzielały jako bodziec i zachęta na kolego jego, prof.

Masaryka, redaktora *Athenaeum*, miesiecnika krytycznego, o którym dawniej pisałem w *Prawdzie*, wyrażając żal i zadość, że równie dobrego w tym kierunku pisma nie posiadamy. Prof. Masaryk, specjalista, filozof, pozytywista, wykształcony przeważnie na wzorach angielskich, obczany dobrze z Ameryką, gdzie wiele lat spędził, a prztem wysocy tacy ceniony jako człowiek prawy i dobry patriota, stojący na czele projektowanej kilkudziesięciotomowej encyklopedyi czeskiej, nosił się oddawna z wątpliwościami co do autentyczności zajmujących nas rękopisów i natychmiast otworzył łamy pisma swojego dla waszechstronnej dyskusji o tym przedmiocie. W zeszytach litowym i marcowym *Athenaeum* pojawiły się spore rozprawy, które dlał pochoch do niezmiernie ożywionej kontrowersji, o której na wstępie wspominałem.

W listach następnych postaram się przedstawić główne dowody są i przeciw, wjeżdż w ważniejsze szczegóły sporu i doniosę o dalszym jego przebiegu. Tymczasem, aby charakteryzować sposób prowadzenia obrony przez niektórych „niepowolanych”, podaję parę okazy ich niesamienności i prostactwa.

P. Masaryk ogłosił niedawno dzieło p. t. *Podstaty logiki konkretnej* (Základové konkrétné logiky, Praga, 1886); w przedmowie tak się wyraził: „Praca ta przedewszystkimi slatnýc ma dla studentów za wstęp do odczytów moich i do filozofii wogóle; albowiem, jak to wylosę na mniejszym własniem, *logika konkretná* jest prawdziwym *organonem* filozofii, w Arystotelesowskim słowa tego rozumieniu.” Otóż p. Juliusz Grégr, redaktor *Národních Listův*, w książeczce, złożonej z artykułów swoich, napisanych na obronę rękopisów, tak te wyraz karykaturowe: „Drugi po Bakonie „doctor mirabilis”, wydaje prawdziwa „filozofii wogóle” i ze wstydlivą skromnością nazywa *dielo své pravduvým organonem filozofii*, w Arystotelesowskim słowa tego rozumieniu.” Podkreślone wyrazy wyosił teni bardzo bujnymi ocznikami. Ozytelnik z latwością dostrzeże, jak tu zręcznie a perfidnie (jak powiadają cześci) pan Grégr podstał *pana Masaryka* zamiast *logiki wogóle*.

Nie oszczędzono nawet płaskich aluzji do jego nazwiska. Ten sam p. Grégr, na końcu swej broszury, będącej odwołaniem się do tłuma w sprawie naukowej, przekty pojedynczymi wyrazami z rękopisów zakwestyonowanych apostrofe: „brómy skarbów tych od twardego *mišoděrnego* dziuba” napastników; jest to aluzja do nazwiska pana M., które, forma polską wyrażone, brzmiałoby *Miegarzky* (roźniaczek). Podobnego płaskiego konceptu pozwala sobie na luznej kartce ogłoszona „Nowa pieśń o straszliwym sfalszowaniu starych pamiatek:”

Gebaurze i Masaryku,
Cóż dziś macie z tego kryzysu?
...Treba panów tych strofować:
Nie racie masarykónad,
Co ma we cieł każdy czech,
Bo wam grozi straszny pech” itd.

Niedawno wszędzie jakiś niemiec nazwał na sejmie wiedeńskim posła Edwada Gręgra „uliznikom królestwa czeskiego”; wywołało to powszechne i słuszne oburzenie. Wątpię czyby się ono objawiło, gdyby ktoś, za przytoczone wyżej przyk, uczcił bratnia pana Edwada i jego kompanię mianem „uliznikom dziennikarstwa praskiego.”

Jan Karłowicz.

se pomiędzy jednym tańcem a drugim, i przerzucając się od polki do walców, od walców do krakowiaków, na „zamówienie” p. A., który „wonna fryzura przed nią chyli”, wola w *Suicim walcu*: „Ach tańczmy! tańczmy!” itd. Autorka pisze:

*Siadł — i chłodna, dzień przytłoczył do skroni
Cierpić bóle (?) twórczej myśli poczęła (?)
I sam nie wie, co się z niego wyolni.*

Otóż krytycy podkreślili w tym artykule niektóre jego wyrazy, robi uwaga, że bohater, *siadając*, powinien być już wiedział, co się z niego wyłoniło może. Naturalnie odmówiono wszelkiego talentu p. Hajocie, której fantazja rodzi „dzieci skrofali-cano.”

O innej, Konopnickiej, zawyrokowało tamte, że poezję jej języka „jak miłość kobiety starej, uróbowanej, z podmalowanymi oczami, czad otem tołłowem.” Gdy w swych *Wrażeniach z podróży* napisała, że kobiety kąpiące się w morzu podobne były do tulipanów, nenafurów i fontan tęczyowych, krytyk zaznaczył, że „kłada nawet najbardziej rozumiejącą się na metaforach a najmniej czuła na konwensuse, uważały sobie za żart niewiosny lub obrażę, gdyby narzeczony w zachwyście poetycznym zawołał do niej, że „wytryskiwiała w oddali jak fontanna teko-wa,” obojętne potem na लेकराक्षी się zakula, że więcej widział w niej tulipana, aniżeli fontanny. Był może jednak, że wtenczas właśnie myśli p. Konopnickiej „w głab sęły” nie kontrowały wrażeń. I temu dziełku najznakomitszej poetki polskiej nie przyznano żadnej wartości. Nawet p. Zapolska nazwała tam „romansową.”

Wszystkie te pomylki pióra względem „bezbrotnych” nie wywołały ani „oburzenia,” ani procesu, ani rycerskich wy-stępów, i w obronie całej niewieści, „prze-ciwnie — zachęcyli i upowabiali do na-pisania na inny organ, który raz ośmielił się zasartować z gorączkową muzyką kobiecą. Tym zaś walew resztek kuchań litera-ckiej, tem piśmie, które podarło prace Hajoty i Konopnickiej za swawolność drwinami i które jednocześnie zamiesciło głos skargi na surowe ocenienie przez sie-bie lekceważonej autorki, tem pi-smem, które wygwizdują p. Popław-skiego, w tym samym numerze wydru-kowało jego artykuł — jest *Wędrowiec*. I skąd on poczerpnął do tego odwa-gę? Tytuł ludzi i z takim zamachem mi-żerna zawzięcia strąca na ziemię, w której nie odbija się najbalsamów odbitychmi żadna wyższa idea, lecz pełzają tylko po-kurzone ogoizmy, że wolał być optymistą i przepisać w p. Dygasiońskim niezno-jomość taktyki piśma, po którym nas prze-wrócił. Sądza, że występując w *Wędrowcu* przeciwko krytycyzmu powrozm nie wie-dział, że rozprawa w domu, w którym na tych poręczach wieszano. Nie ubezpie-czający się rozważa, uległ on zarazie li-terackiej, która wyległo w procesie mi-króbakterii. Okolwiek trzymamy o jego zdolnościach, widzieliśmy w nim pisanza nożowego; z tem przekonaniem nie rozstajemy się nawet dziś, chociaż na opylony kursem strzepnął na nas bez po-wodów i powagi. Może mu się ta imperty-nenoya dziś podobaa, ale czy będzie z niej zadowolony, gdy na nią z oddalenia spoj-ry? Wątpimy — i tem wątpieniem kończymy przykry z nim rachunek.

Parę słów tylko o mikrobach. Wroźba nasza spełniła się — pozory rozsądne kłamstwem pekły — maska z wizerunkiem p. Zapolskiej opadła. Odrzucać walciliśmy, że zdanemu z „obrażonych” o p. Zapolską nie chodzi, lecz ostrutw błotem do *Prawdy*. Jest to „zemsta niepotępową.” Przecho-dziliśmy napisać mocniejszo, kiedy to wraz z całym stronnictwem postępowem staliśmy pod gradem zagranicznych i deszczy-kiem miejscowych obwinień o nieobywa-

telskie dągnięcia — więc i ten kapuśniaczek wiośniony przebrniemy. Ale dla utrwalenia przyszłości znamion czasu obecnego, odna-żamy ten fakt rozdawania jadu złości oso-bistej w pochwachach „dobra ogólnego,” że atmosferę duchową, w której zaroiły się lasoczniki a zanikły pierwsiastki odżywoze. W r. 1886, w roku nędzy, głępi, niedoli, zagrożonego bytu pewna część polskich piśm zapelnia całe stronicie apologiami p. Zapolskiej i wymyślała nadrektorów, który zamiescił niepoobłębna o jej utworach recenzy, obelgami dla krytyka, który dopuścił się tej zbrodni — a publiczność ze spokojem przygląda się temu gorzącemu widowiskowi i nie wola: dosyć skandalu! dosyć kulakowych bójek o wór wiatr! Do Pasteura! Wygląda to jak chorobliwy sen — a jest rzeczywistością, rzeczywisto-ścią tej daty, w której nam ogłoszono wy-rok nagłady.

W takich to warunkach musi się roz-wijać pismo nasze, zmuszone bądź odpięrać napad, bądź odychać wstrętem. Trzeba tej odrzy przynajmniej nam oszczędzić, czytelniku. Każdej szczyptawki z osobną na spilkę obywatel nie będziemy i pomo-wimy o nich dopiero obywateli wtedy, gdy wszystkie na wirach wyleżą. Zgarniemy cały ich gatunek.

Jak dalece polemika grasuje obecnie w naszej prasie, przekonywa gwałtowny jej paroksyzm w *Gazecie lekarskiej*. Pismo to, z natury swojej przeciw tomu rodzajowi przypadłościom odporne, nielego jednak epi-demii. Ni mniej, ni więcej tylko chce ono bezpłatnie wyleczyć z „obłędu” folejoni-stów, karzących Towarzystwo lekarskie za obojętność względem badań Pasteura. Jakkolwiek korzystalem wiele z bezpłatnej porady doktorskiej, tym razem wszakże za receptę dla *Prawdy* dlanym być nie mogę. *Gazeta* twierdzi, że Towarzystwo nie ma fundusów dla wysłania kogoś do Pasteura i Kocha, może zaś tymczasem poprzestać na miejscowych „wale powa-żnych praeach bakteriologicznych.” Właściwie pierwsza wypowiedź jest ałeczna, bo skoro u nas odbywają się takie prace i skoro o metodach badania Kocha i Pa-steura pisało już całe dzieła, które można nabyć to po co usprawiedliwiać się brakiem fundusów na wycieczkę naukową, a tem bardziej naznaczać konkurs, za który nagroda brak ten zastąpi? Gdyby wszak-że *Gazeta* mieniła, że pobyt w pra-cowniach, urzędowych zakładach, którego nie posiadamy, i prowadzonych przez lu-di, których także nie posiadamy, przy-niosłby jednak pewną korzyść, niemowlę-ko do wydobycia z „dziej” to pozosta-libyśmy w „obłędzie” i dali prostą radę: niech każdy obłędny Towarzystwa ofia-ruje rubla — a zbierze się fundusz na podróz do Kocha, niech ofiaruje drugiego — a be-dzie zapomoga na wyjazd do Pasteura. Za żadnym „wartogłowem,” mającym z takiej wyprawy przynieść Towarzystwu złote runo wiedzy, nie głosowaliśmy, gdyż nie wiedzieliśmy, że wartogłowy do tej insty-tucji należą i są jej jedynymi kandydta-mi do Kocha. A w końcu zdziwienie na zdziwienie nad wywodem pisma lekarskie-go, które lekowałaby *pracownie* doświad-czalne, conię przedewszystkiem *działa pi-sane*. Kto wie, czy nie lepiej być „warto-głowem.”

Pośł *Prawdy*.

NA WIDNOKREGU.

Zachęta do rozdawania się. — Wytrwałoci obłopskiej. — Złudzenia optyczne w łomżyńskim i redakcy *Gazety rolniczej*. — Weterynarye miejscy. — Dwa wypadki w Radomiu.

Jak opiekunowie większej własności przysyca jej upadku widzą jedynie w słu-

żebnościach, tak znowu „przyjaciele ludu” ały stan gospodarstw włocławskich przypisują skupianiu się ludności wiejskiej w większe osady. Że przyczyna ta nie jest wyłączną, świadczą chociażby ostatni konkurs gospodarstw obłopskich. Właściele ich nie utworzyli oddzielnych kolonii i mieszkają po wsiach, a jednak niektórzy z nich doprowadzili gospodarstwa swoje do takiego stanu, iż mogą służyć za przykład starszym braciom. Taki np. Zaromba, którego krowy więcej dają mleka rocznie, aniżeli drogie i drogo żywione holenderski, któremu mniej ziemi więcej daje czystego docho-du, aniżeli otrzymał można z tej samej przestrzeni w najlepiej urządzonych majątkach szlacheckich — dostarcza silnego argumentu przeciw mniemanej wyższości cywilizacyjnej i ekonomicznej gospodarstw wielkich. Nie w gromadnem osiedlaniu się włocławian szukać należy wyłączenia niskiego stanu kultury ich gospodarstw, ani też w bezwzględnem rozsądnic-twie (nowo ujęty termin) widzieć jedynę środki zaradku. Nie przeczę bynajmniej, że pokrajanie pól w drobne kawałki, lub zbytnia ich odległość od domów przeszkadza gospodarce dobrej i w takim wy-padku trzeba dokonać nowego podziału gruntów lub rozbić je na kolonie. Znazna-czam tylko, że nie należy przesadzać wato-ności tej sprawy i nie propagować zbyt gorąco rozsądnicwa, bo i skupianie się w większe osady posiada również dobre strony, których lekceważyć nie można. Rozwija ono bowiem poczucie łączności, ułatwia prace zbiorowe, nie mówię już o tem, że np. istnienie szkół w naszych warunkach klimatycznych możliwem jest wtedy tylko, kiedy ludność żyje gromadnie po wsiach. Interesy produkty nie mogą przeciw regulować wszystkich czynności ludzkich.

Bardzo dobrze robi *Gazeta świętocka*, namieszczając szczegółowo opowiadanie o tem, jak mieszkający miasteczka Stanisławów postanowili podzielić granicy swoje na osady, w jaki sposób to uczynili i jakie stąd mają korzyści. Przykład to bardzo pouczają-co, bo trudności były wielkie, ziemia rozmaitych gatunków, działki nadzwyczaj drobne itd. Przyszłości usunęto pomysły i podział nastąpił; dziś już kilkadziesiąt właścicieli wytnęło się na kolonie. Dodad trzeba, że nie skrzywdzono nikogo i uniknięto wszelkich sporów, przeznacząc pewien, dość znaczny obszar ziemi na zaspokojenie w przyszłości możliwych pretensy. Słowem przykład mieszkawców Stanisławowa zasługuje na uznanie i po-chwałę, ale nie należy, jak to czyni *Gazeta*, zachęcać wszystkich włocławian do naśladownictwa i zalecać rozchodzenie się na osady, chociażby bowiem „gospodarstwo na tem wygrało, inne sankdy mogą przeważyć zyski.

Potrzeba zaiste prawdziwie obłopskiej wytrwałości, żeby nawet przy pomocy geometry dokonąć sprawiawliwie drobiazgowego oszacowania i podziału gruntów. Obłop polski tak właśnie wytrwałością ko-rzystnie odróżnia się od starszych swoich braci; kiedy myśl jukaś zaświata w jego głowie, doprowadzą ją zawsze do skutku, chociażby cena nietychanych poświęceń. O jednym z bohaterów takiej, legendowej niomal ciępliwości opowiada ta sama *Gazeta świętocka*. W powiecie rawskim, gubernii piotrkowskiej, we wsi Mirosznie mieszka włocławianin Reasko, człowiek rozsądny i dobry gospodarz. Droga, która prowadzi przez wieś do Rawy, pełna była wybojów i dziur, jak w ogóle drogi polskie, przejeździ woźnice łamali tam nieraz wozy, ciężkie furmanki grzęzły, ludzie prze-kinali drogi i mieszkawców wioski. Podobno te przekleństwa wpłynęły na Reaskę, że postanowił ziemi zarządzić. Mniejsza zresztą o to, jakie pobudki kierowały nim, dosyć, że odważył się do sąsiedów, żeby pomogli mu naprawić drogę, kiedy zaś ci

odmówili mu współdziału. Reszko z żoną i wychowaniem (dzieci nie ma) wzięli się do naprawy. Z początku nawieszono kamieni, gliny i chrustu tylko na sto prętów, ale w miarę postępów roboty energia rosla i dzisiaj Reszko własnymi siłami przerobił kilka wiorst złoj drogi na prawdziwą szosę. Niedośyż na tem, postanowił on poprowadzić także drogę i w ten sposób pracować aż do śmierci. Drobny zamiar, ale jakże to wzniósł przykład żelaznej energii i cierpliwości, jakie dawa stworzyć mogły te przykłoty, zastosowane na szerzą skalek.

Mieszkańcy trzech wiosek w Łomżyńskim byli świadkami dawnego zjawiska. Na skraju widnokręgu ukazał się jakby chmura tną nad ziemią, poza nią widzieć można było niby ogromne stado wilków. Potem wystąpiły tłumy ludzi, którzy rozdzielili się na kilkadziesiąt gromad i zaczęli z sobą walczyć. To złączenie optyczne trwało około dwóch godzin. Trudno do skromnych czytelników *Gazety światowej* wymagać dokładnego opisu, ale objaśnienie zjawiska, jakie daje to pismo, mogłoby być mniej... naukowem. *Gazeta* łomżyńska powzięła swoim abonentem, że było to odbicie natarczy angiłków z birmieższymi, ci ostatni bowiem pędzą na nieprzyjaciela sfery złośliwych psów. Zabawne to objaśnienie powtarzają z powagą niektóre inne pisma — rozumie się — już dla czytelników inteligentnych. Sądzę, że birmieższycy w podobny sposób łomżą sobie również złudzenia optyczne.

Należałoby jednak wyjaśnić przyczyny i charakter tych złudzeń, bo np. *Gazeta rolnicza* podlega im dosyć często. Nie mówię o tem, że szanownemu organowi ziemianstwa często dwoi się w oczach, że doświadczają on rozmaitych balucynacji, w których widzi strachy urojone, ale często wróć jego, patrząc na jedne przedmioty, dostrzega drugie i odwrotnie. W miarę potrzeby las zmienia się na pole, a pole na las. Polemizując z *Prawdą* z powodu artykułu pt.: „Wnioski ziemniaki,” kronikarz *Gazety* zaprzecza, że w większej części majątków służebności zostały uregulowane i pyta o cyfry. Owszem, możemy mu wskazać źródło: *Warsz. Dziennik*, w którym podane były cyfry urzędowe, ze sprawozdań komisarzów właścicielskich. Zresztą jeżeli potrzeba, przytoczymy niektóre. W gub. radomskiej znajduje się 882 majątków ziemskich, zawarto zaś umów o zniesienie służebności i służebności 709. O tem, że w większości majątków zniesiono serwityuty, mówią niektórzy autorowie odpowiedzi, potrzebne cyfry mogła również znaleźć redakcja *Gazety* w Towarzystwie kredytowym ziemskim. Dotyczy to wogóle służebności, zaś serwityuty wspólnego pasażu rzadko gdzie już istnieją, temu chyba i kronikarz nie zaprzeczy, chociażby z uwagi na to, że w znacznej większości majątków w kraju istnieje gospodarstwo płodozmienne. Mogła więc być tylko mowa w artykule wyłącznie lub przeważnie o służebnościach leśnych, zniesienie których — powtarzamy — nie należy do najpilniejszych potrzeb rolnictwa. Tymczasem autor polemiki o lasach nie mówi, ale szeroko rozprawia o służebności państwowej na polach dworskich, stamtąd zawraca na łuki, zapewne po to, aby znaleźć tam siano i niem się wykryć.

Osąsom znowu pole zmienia się na las. Kiedy *Prawda* pisze przeważnie o akodnicztwie na polach dworskich, bo o nie głównie chodzi autorom odpowiedzi, jak to widać z treści ich wniosków, namiętny kronikarz szeroko rozprawia o zagajnikach. Dodam tu jeszcze, że kiedy mówi się o „kraju,” to zawsze pamiętać należy, że nie jest on żadną abstrakcją, ale składa się z 6 milionów chłopów polskich, 1½ miliona ludności miejskiej i kilkudziesięciu tysięcy obywateli ziemskich. Jeżeli więc o korzystnem jest dla 6 milionów chłopów, nie może być szkodliwym dla kraju,

choć nie przeczę, że najlepszym byłby taki stan rzeczy, któryby zadowolił wszystkich. Organ interesów ziemianstkich winien bronić praw klasy, której służy, ale niech używa właściwych argumentów. Nie mam zamiaru go uczyć, gdzie ma ich szukać i jakich używać powinien, ale to pewna, że znalazłby ich poddostatkami, gdyby porucił zwierzęcia frazery o dobru kraju. Dziś już nie ma takich naiwnych, którzyby się na ten łep brali dla i nawet przedstawiciele kasty ziemiańskiej coraz otwarciej mówią o interesach własności większej, po prostu o interesach stanowych, nie strając ich w piórka dobra ogólnego.

Korespondent *polski* porusza projekt ustanowienia posad weterynarzy miejskich. Strach pomyśleć, że bydlę, które idzie na rzeź w miastach prowincjonalnych, nie podlega żadnej kontroli. Ileż to chorób powstaje z tego powodu. Jeżeli miasto utrzymuje doktora, felerów i akuszerki, którzy obowiązani są leczyć chorych, to czyż nie należy trzymać również weterynarza, którego działalność w znacznej mierze usunąćby mogła przyczyną? Trudno chyba zaprzeczyć, że racjonalistę jest zabezpieczyć mieszkańców od chorób, aniżeli ich później leczyć. Uwaga bardzo prosta i słuszna, ale u nas właśnie takie rozsądne myśli rzadko trafiają do przekonania. Dodad należy, że opłaty ze szlachtuza, jatek i sprzedaży mięsa na rynku pokrywałyby wydatki na utrzymanie weterynarzy, którzy dzisiaj z trudnością znajdują odpowiednie zajęcie i czepiać się muszą innych zarobków.

W Radomiu w ubiegłym tygodniu zdarzył się pożar, podobny którego — jak donosi organ miejscowy — zgromadzona ludność zachowywała się zupełnie biernie. Nie poruszyła jej nawet ta okoliczność, że w głębi domu, przywalony bolką, umierał w strasznych męczarniach człowiek, który z poświęceniem własnego życia wyratował z ognia kilku śpiących mieszkańców. Nikt nie pospieszył mu z pomocą, nawet straż ogniowa, która zajęta była wówczas wywożeniem z sąsiedniego domu mebli, należących do jakiegoś miejscowego patrycyusza. Objęte serca mają ludźle w Radomiu, bo nawet *Gazeta*, która nie pochwala biernego zachowania się ludności, oburza się bardzo delikatnie i nie piętnuje tych, co patrzyli spokojnie, jak kona w męczarniach śmiły młodzieniec i nie podali mu ratunku. Takie czyny wznieśliwego bohaterstwa i takiej oburzającej nikczemności przechochą z nas bez zwrócenia uwagi, zajętej skandalami lub plotkami.

Więcej — zapewne interesuje radomianów dwadziestokilkolenny młodzieniec, który ożeniony z sześćdziesięcioletnią babą, zmusza ją do wspólnego pożycia nie tylko z zasady religijnej, że żona winna iść na mężem swoim, ile na mocy odpowiednich artykułów prawa. Powodem tej niezwykle ozłośli małżeńskiej było otrzymanie przez starsząkę spadku. Ręczę, że ten skandal obejdzie łany wszystkich piśm, o bohaterze zaś radomskim i o objętości tłum mało kto wspomni. Takie rzeczy nie interesują bowiem naszych publiistów, którzy energicznie zapomogą własnej sfery rozrabiają błoto uliczne, ażeby obrzucić niem tych, co omielały się jeszcze zajmować sprawami ogólnymi i nie chcą kąpać się w ryzotkach plotek, intryg i skandalów.

J. Nieborski.

PRASA ROSYJSKA.

Ruskij Kurjer zamieszcza obszerną korespondencję o stosunkach poznańskich, w której wypowiada wiele słusznych uwag:

„Kierunek, w jakim rozwijają się stosunki ekonomiczne Poznańskiego, bardziej zagraża żywiołowi polskiemu, niż wszystkie kulturkampfy, prawa majowe, wypędzania tłumne. Położenie tym jest tragiczniejsze, że przewód polscy w Poznańskim, otoczeni atmosferą życia politycznego, bez poważnego wykształcenia społecznego, zajęci interesami i obroną ideałów szlacheckich, wcale nie pojmują sytuacji. Wypadki wymagają ludzi z wielkim talentem i energią; nie tu nie pomoże znajomość dawnych dziejów Polski...”

Wykazując cyframi, że położenie ekonomiczne ludu pogarsza się i sprzedaje osad włościańskich odbywają się coraz częściej, autor dodaje:

„Nie ulega wątpliwości, że proces ten będzie się dalej rozwijał: dość przejrzyć wierztytelności właścicieli. Wierztytelności te obciążają dwie trzecie ogólnej wartości majątku włościańskiego i co rocznie się zwiększają. Brak kredytu taniego, konieczność wprowadzenia ulepszeń gospodarskich, taniósł zboża, działu rodzinne i mnóstwo innych przyczyn składa się na to, że chłop przepada. Liczba rozmaitego rodzaju egzokucyj, sprzedaży przymusowych i t. p. w warstwie. Dotąd kupował ziemię brat-chłop; niekiedy szlachcic polski; teraz kupował ją bęć Niemiec — wszak k. Bismarck zażądał na ten cel potrzebnych sum. Chłop polski ucieka do Ameryki północnej, do Brazylii, nawet do Australii, a jego ziemię uprawia Niemiec. Położenie bez wyjścia chłopów poznańskich równa się wprost germanizacji, gdyż sprzedaż przymusowa tej ziemi znaczy wytaśczenie polaków i kolonizację Niemców. Pod tym względem położenie Poznańskiego jest rozpacziwem. Jedynym środkiem jest założenie instytucji kredytu taniego i wogóle usiłowanie poprawienia losu chłopu. Ale przewódci wiecy nie rozumieją tego; dla nich ważniejszemi są rozprawy w parlamencie, ale oni zapominają, że z upadkiem chłopu runie cały gmach narodowy...”

Dalej mówi autor o wychodźstwie polaków do Niemiec.

„Możemy nawet powiedzieć, że polak we wszystkich gałęziach robót ciężkich, wypiera Niemca w całym cesarstwie niemieckim, wszędzie tam, gdzie trzeba potężnych mięśni i pokornego milczenia. Pod tym względem robotnik polski zaczyna w Niemczech odgrywać tę samą rolę, jaką odegrał w swoim czasie w Anglii irlandczyk. Przed kilku laty robotnicy niemieccy tłumnie rzucili się na polaków, których mniemytelnosć berlińska sprowadziła do roboty miejskiej. Zaburzenie rozszarpało się na kilka ulic, tak, że wojsko musiało poskramiać rozbawstwowanych Niemców. W jesieni te polskie tłumy wracają w znacznie mniejszej liczbie do ojczyzny. Kto bowiem zarobił dużo grosza, ten wcale nie wraca i tonie wkrótce w morzu niemieckim. Ci zaś, którzy powrócili, przynoszą z sobą do ojczyzny wioski nowe pojęcia i poglądy: pewien kosmopolityzm i pogardę dla narodowego ustroju wiejskiego. Zwłaszcza pod tym względem silnie oddziaływa ta okoliczność, że do tej emigracji chwilowej należy i kobieta. Nie trzeba — zdaje się — mówić, że wszystko to przyczynia się do germanizacji.

Tym sposobem w Poznańskim spostrzegamy dwa prądy, w najwyższym stopniu zgubne dla żywiołu polskiego. Z jednej strony chłop ubożeje, a jego miejsce przechochdzi w ręce szlachty — dotąd, a na przyszłość w ręce niemieckie. Z drugiej strony ludność roboza opuszcza kraj i jeśli doń wraca, to z mniemstw nabytków szkodliwych idei narodowej. I wszystko to dzieje się gładko. Żaden z przywódców polskich nie zwrócił na to uwagi. I panowie Stabławcy, Kościelcy i inni będą wołać o prawa 1815 r., dopóki z zadowieniem nie spostrzegą, że grunt, na którym stał chłop polski — gdzieś przepadł... Cóż wtedy zrobić *pateres conscripti* Księstwa Poznańskiego?”

O PRAWDE.

(Sprostowanie).

Wyczytawszy w nr. 14 *Prawdy* wyrok sądu ostatecznego pana Hirsbanda nad moją działalnością filozoficzną, nie myślę bynajmniej wystąpić w swej obronie i czesmoświeckim przychylić się do łaskawego o mnie zdania pana Hirsbanda. Przekonany jestem, że przedaję czy później znajduję się w tej sprawie sędziwiej mniej uprzedzeni, a bardziej kompetentni, którzy dańności filozoficznych nie poddają zlekka pod strzechle ekonomii i nieoddających od niej ciężkich czasów, jak to czyni pan Hirsband.

Tymczasem jednak zmuszony jestem w imię prawdy zaprotestować jak najenergiczniej przeciwko publicznemu spaceniu zdań i poglądów, wygłaszanych przeze mnie z katedry.

Przykład z butelką, jak i inne „gruski i pietruski” są prostym wytworem bujnej imaginacji pana Hirsbanda. Krytykując materializm, wykazuje, że zwolennicy tej teorii byłby zdolni wyjaśnić powstanie myśli, ducha tylko wtedy, gdyby już w samej materii przyjmowali czynniki myślowe. Ale w takim razie konsekwentnie musieliby uznać, że materia i po za możnkiem to czynniki w sobie zawiera; gdyż nie można przepuścić, aby materia, z natury swej bezmyślna, zmieniła w mózgu swą naturę i stała się nim, wskutek znowu samych tylko procesów materialnych, *tych* *tych*. Owo przypisanie ras materii czynników myślowych doprowadziłoby jednak do najfantastyczniejszych wyników, bo wtedy należałoby przyznać, że ruch materii w zwykłych procesach chemicznych, lub nawet poprostu, że ta lub owa substancja materialna, np. fosfor, zawierając w sobie czynniki myślowe i po za możnkiem.

Oto moje rozumowanie, wygłaszane w tym względzie z katedry, a zasadniczo różne od parady pana Hirsbanda. W tem rozumowaniu nie ma wcale mowy o „*związku*” *fosforu* z „*działalnością umysłu*” — jak twierdzi pan Hirsband — bo w takim „*związku*” umysł już byłby uniany za czynnik *zależny*, różny od materii. W owem rozumowaniu chodzi przeciwko proste wykazanie konsekwencji, wypływających z zaprzeczenia samistości umysłu, z utratą samienia myśli z materią (Nie przypominam sobie, gdzie są te znamienne, przez Lanceso cytowane słowa Büchnera, „*myśl, duch, dusza nie jest czesną materialną ani samą materią*”, lecz kompleksem różnorodnych sił podniesionym do jedności” — przyp. N. H.), i jej procesami, a zatem z zasadniczego aksjomatu materializmu. Bez szerszych wywołów każdy widzi, że są to rzeczy zupełnie różne.

Mogą się panu Hirsbandowi poglądy moje nie podobać, ale wyrokuję o nich z wysokości swego improwizowanego trójnoga, powiniem je przynajmniej przedzwystykiem należyte zrozumieć.

Henryk Struve.

(Odpowiedź).

Smutnie to świadczy o duchowym arsenale pana Struvego, jeżeli niekiedy się do profesorowskiej wyniosłości względem sprawozdawcy. Niedawno swojego słuchacza nie zaszczyca on nawet bezpośrednio do niego zwróceniem się i tylko w imię prawdy *prosi* przytoczone przezeń i „niezrozumiane” przykłady. Ale jak zawsze, tak i w tym razie posiadaje wiernym caci pustych idły i pretensyj, depcząc z olimpijską duma fakty. Gdzież to bowiem spacytem jego natłoczone myśli? Wziąłem obdarzony duchem fosfor w butelkę za próbkę owego absurdum, do jakiego zdaniem szan. autora prowadzi materializm. Toż sam on, jak teraz widać, w wykładzie swym do tego zmierział! Takie, że nie podobają mi się pomniejszenie, jakie obratem fosforowi — co znówu dla mnie było objęciem; choźdło mi tylko o jaskrawą ilustrację rozumowania prof. Struvego, i to właśnie rozumowanie postawiłem za obremem dziełiny poważnej. Uczony, który rolę pewnej sub-

stancji lub siły w *organizmem* ich skupieniu porównywa do znaczeniem ich *po za ustrojem*, uczony, który na mocy materialistycznej tezy, że mógł jest siedliskiem i warsztatem myśli chciałaby, dajny na to, wyjaśnić system Tomasza z Akwinu takiemuż mózgowi, epoczywającemu w sobie napełnionym spirytusem — a w danym razie podobne wnioskowi wyciąga prof. Struve — byłby blizkim karykatury pomimo gruntuwe znajomości owej kościółki. I jaka jest ogólna podstawa tej jego dyalektyki? Oto: nie można przypuścić, żeby materia z natury swej bezmyślna stała się w mózgu w skutek samych tylko procesów materialnych — *myśląc*, czyli *o contrario*: w mózgu i po za mózgiem musi być ta sama. Dlaczego? *dlaczego* zapyta? Ciekaw jestem, doprawdy, czy prof. Struve zjadłby głowę *szuspa* nabięrze jego zarłocności — przypuszczam że nie, albowiem narząd trawienia p. Struvego nie jest dla materii i siły *mózgu* tam otoczeniem, *tu sumą nieskonczoną współczynników*, jakie dla niej przedstawił organizm ryby. Doprawdy, słysząc to grube dowodzenie, chciałbym zawołać: *Plus materialiste que le materialiste nimes!*

Wobec tego, pomimo serdecznej mojej pogardy dla materializmu, który uważam za młodego junaika, w każdej krytycznej chwili przecho-dzającego w dualizm i spiritualizm, muszę stanąć w jego obronie. Gdyby materialyści pociągali ducha za *przysławność* materii, a nie za *sumaryczny wytwór* zawilej kombinacji sił — tak, iż otoczenie i współdziałanie innych czynników byłoby *zbytecznem* — wówczas to fosfor w mózgu i fosfor w owej butelce byłoby równoprawne. Ale tak nie jest. Nikt jeszcze (a mam na myśli bystrzejszych nieco filozofów) ani w głosnem haśle Moleschotta: „*nie masz myśli bez fosforu!*”, ani w zdaniach typowego materialisty Büchnera, „*że mózgi wyższych zwierząt przebiegają więcej zawierają tłuszczu i fosforu*” (*Kraft und Stoff*, wyd. 8, str. 111), albo „*że działalność duchowa jest czynnością substancji mózgowej*” (140 str.) nie dopatrywał się *wyższej*, a prof. Struve chce ją przypisać materialyzmowi, dowodząc głęboką ignorancję jego chorążych. Jedno więc z dwójga, albo uraga on logice, albo nie rozumie materialistów. Dla „*profesora filozofii*” każda z tych sytuacji podrywa jego powagę.

Ostatecznie więc p. Struve, zamiast sprostować moje uwagi, *potwierdził* je, za co serdecznie składam mu dzięki! Jakże bowiem inaczej ogół dowiedziałby się o prorocत्वach, które na czas Pythia metafizyczna wygłasza, a których ku wielkiemu mojemu żalowi nikt dotąd drukiem nie uwiecznił. Przekonałby one może, czy ja „*paroduję*” p. Struvego, czy p. Struve paroduje filozofię!

Na zakończenie słówko o ekonomii. „*Kto skartczy się na ciężkie czasy i niemożność znalezienia nakłady dla Estetyki barw?*” Chyba nie ja — Jeremiasz szan. autora każdy może wyczytać w przedmowie — ciekawych do niej od-syłam, co do siebie zaś zauważę, iż nie miałem na myśli wcale tej ekonomii, która leczy choroby „*ciężkich czasów*,” lecz zasady oszczędności w pracy nankowej.

N. Hirsband.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Wyjaśnienie. P. Gruszecki, redaktor *Wędrowca*, przyjąwszy odepnieć odpowiedź na artykuł p. Dygasłowskiego, zamieszany w tem piśmie, w parę dni potem oświadczył, że drukować jej nie może. Ponieważ odpowiedź ta ponaile była przez p. Gruszeckiego sako-munizowaną p. Dygasłowskiego, da uniknięcia wiece posadzeń, że cofnął ją z własnej woli lub pod naciskiem cudzej groźby, podaje niniejsze wyjaśnienie, nadmienając, że z prawa obrony mojego honoru względem p. Gruszeckiego skorzystał w tym sposobem.

J. L. Popławski.

Znak czasu. *Kur. war.* pisał: „*Kilka osób dobrzy woi, które pisały dotąd w dziennikach t. z. miłośnicy prasy, występuje z podaniem do władzy o udzielenie im pozwolenia na nowe czasopismo, któreby gadało*

ich kierunek z potrzebami kraju.” Stodki ten owoc okazał zapewne na drzewie procesu naszego z p. Zapolską, które pokryło się kwiatami „*dobrych woi!*” i wyrzosiło w „*kierunku*” zgodnym z potrzebami kraju.” Nowemu organowi może wiele rzeczy strakać, ale idea ma.

Nowe przepisy o powinności wojkowej przedłuża czas służby czynnej dla osób, które otrzymały wyższe i średnie wykształcenie. Nowe prawo łączy dwie pierwsze kategorie, t. j. tych, co ukończyli uniwersytet i tych, co skończyli 6 klas gimn. — w jedną grupę, dla której termin czynnej służby oznaczono na dwa lata, zamiast 6 miesięcy dla pierwszej i 18 dla drugiej kategorii, jak było dotychczas. Ochotnicy służby będą rok, zamiast 3 i 6 miesięcy. Przepisy, dotyczące ulg dla 3 i 4 kategorii, nie uległy zmianie. Termin służby liczyć się będzie od dnia wstąpienia, lecz na zasadzie różnego szczegółowych określić, co poniekąd przedłuża czas oznaczony w ustawie. Osoby pierwszej kategorii, które zaczęły służbę lub ukończyły deklaryację, nie podlegają nowym przepisom, ale ochotnicy drugiej kategorii obowiązują one, mogą tylko, jeżeli kładą, poddać się losowaniu, tym zaś, którzy wylosowali, wolno podać się na ochotników.

Zaprzeczenie. Czas krakowski przeciw wiadomości podanej przez *Kur. Warsz.*, jakoby B. Zaleski zmarł w niedostatku.

Szczepienia Pasteura dają dotąd następujący rezultat statystyczny: Do 10 b. m. dokonano szczepień na 730 osobach, z tych 694 było pokaszanych przez psy wściekle, z 38 przeżyło. Z pierwszych zmarła dotąd i dalszych (przychyli) w 3 tygodnie po ukłaceniu, z drugich — z 3. Według statystyki procent śmiertelności w pierwszej grupie wynosił 16, w drugiej — 82. Pasteur uważa rodzaj wścieklej u psa i wilka za jednaki, ale wilk bardziej razi i dlatego szczepienie powinno być przedzielone przedzi.

Cyrylak. *Pravd.* Wiadomości ukłonił ministra oświaty do kuratorów okręgów naukowych, przypominając tym ostatnia prawa, z jakich korzystają wien na zasadzie: nowej ustawy uniwersyteckiej, oraz wskazując potrzebę wzajemnego porozumienia z władzami ogólnymi, ponieważ — według ostatnich sprawozdań — propaganda rewolucyjna znowu, znajdując przystępną do umysłów młodzieży.

Potar. Straszny pożar obrócił w pył całe miasto Stryj w Galicyi. Spalono się przeszło 600 domów i około 100 ludzi. Straty wyniosły z górą 5 milionów złr. Polowa ludności opędziła pogorzelisk, bledniejąc obozując pod gołym niebem. Literaci lwowscy zamierzają wydać jedynolitek na rzecz pogorzelców.

Udogodnienie. Zarząd poczt i telegrafów ogłasza, że wprowadzone będą t. zw. karty korespondencyjne, złożone z dwóch arkuszy, opłaconych po 4 kopiejki.

Sprzedż. Gazety rosyjskie donoszą, że zarząd kolei Iwanogradsko-białoborskiej połowę akcji sprzedał bankowi dyskontowemu w Berlinie.

Mianowanie. Profesorem farmakologii na miejsce dra Kryzyski mianowany został dr Tumas, profesorem zaś patologii ogólniej i terapii na miejsce dra Euczekwicz — dr Euklanow, dotychczasowy docent akademii wojenno-medycezy.

Zniam. W instytucie inżynierów dróg i komunikacji (putej soborzenicy) przywrócone będą na nowo, zniesione przed kilkana laty, dwa pierwsze kursy.

Bibliografia. Jan Karłowicz. *O związkach wspanych polskich między i ludzi.* Warszawa.

J. Hellper. *W sprawie jednostajności znakuowania w naukach technicznych.* Warszawa.

J. Hellper. *Własności stały służącej do wyrobów szyn.* Warszawa.

Wydawnictwo Zdrowia. *Jak zabezpieczyć rodzaje od chorób pępowych.*

Józef Bileński. *Smach i mał.* komedia. Warszawa.

M. Gawalewicz. *Figiel Beniamina*, komedia. Warszawa.

H. Nussbaum. *Jakob Tarasiewicz*, szkic powieściowy. Warszawa.

J. Jedrzejewski. *Kosmografia*. Warszawa. (Bibliot. matemat.-fizyczna, wydawana z zapoznogi Kasy Mianowskiej).

Jak prowadzić gospodarstwo? — rozprawy odznaczane na konkursie *Gazety rolniczej*. Warszawa.

Skandal. Wierzyciele króla bałwarskiego zapowiadają przed sądem i kładą zabezpieczenia swych należności na życie cywilne.

Kongres orientalistów, słodny z rzędu, odbędzie się we wrześniu w Wiedniu. Podzieli się on na 5 sekcji: aryska, semicka, wschodnio-arytycka, egipska

afrykańska i archeologiczna. Z polaków otrzymało za-
porozczenie 24 osób.

Polemika. *Nowoje Wremia* pomieściło portrety
osób pokaszanych przez wściekłego wilka. Z powodu
tego *Nowosti* zrobiły wzmiankę, że w *N. Wremiu*
„umieszczone zostały nader udane wizerunki całego
składu redakcyj.” Na to *N. Wremia* znów odpowiada:
„Niechaj tak będzie! Wice my jesteśmy chłopi smo-
leńskimi, a współpracownicy *Nowosti* wściekłymi
wilkami. Ale zrobimy uwagę, że wściekłej byłoby
porównanie siebie do innych zwierząt, znanych ze swego
niechędostwa.” Ładna polemika!

Szkolnictwo. W gubernii płockiej w roku
1884/5 znajdowało się 583 zakładów naukowych
z 23,282 uczniami i 15,309 uczennic, w tej liczbie katoli-
cy stanowią 73,2%, ewangelicy 19,25%, żydzi 6,29
i prawosławni 1,24%.

Naród nie zabity (Un peuple mal tué). Pod tym ty-
tułem *Rappel* zamieszcza statystykę ludności polskiej
w Prusach, określając jej liczbę na 4,800,000, miano-
wicie w Poznaniu 1,700,000, Prusach zachodnich
i wschodnich 1,600,000 i na Śląsku 1,500,000. Cyfra
ta jest przesadzona, źródła niemieckie nie liczą więcej
nad 3 miliony polaków.

Żydzi szynkarze. W Rosyi europejskiej 23s szyn-
ków trzymają żydzi, w Królestwie stanowią oni 49,5%
szynkarzy, w gubernii wileńskiej 63,8%, podolskiej 72,5%,
kijowskiej 70%, kowieńskiej 90, mławskiej 91, mohylew-
skiej 93, w grodzieńskiej wreszcie 94%.

Konsumpcja cukru wynosi w Anglii 77,34 funtów
na osobę, w Danii 32,94, Francji 28,50 f., Szwajcarii
24,40, Holandii 21,47, Belgii 18,79, Niemczech — tyleż,
nawet w Turcji nieco więcej niż w Rosyi (8,79 f.) —
niżej stoją tylko Włochy, Hiszpania i Portugalia.

Ludność niemiecka w gub. płockiej wynosi 34,000
osób. Niemcy mieszkają w 100 wsiach (29 wyłącznie
do nich należą) i posiadają na własność 93,000 morg-
ów ziemi. Oprócz tego 106 rodzin dzierżawi grunta
od obywateli lub włóścian.

Statystyka. Liczba osób zabitych i rannych przez
koleje żelazne wynosiła w r. 1880 zabitych 434, ran-
nych 675, w 1881: 318 i 718, w 1882 — 448 i 717,
w 1883 — 439 i 717, w 1884 — 420 i 654.

Zmarli. Zygmunt Komar, b. wychowawca szkoły
główniej, dr filozofii uniw. w Oksfordzie, pisywał artyku-
ły o rzeczach polskich do pism francuskich i niemie-
ckich.

— Wiktor von Scheffel, poeta i powieściopisarz nie-
miecki. Utwór jego *Der Trompeter von Sickingen* do-
czekał się 77 wydań.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. S. K. Pr. 2300. o innych nie wiemy.

P. K. *Chirazczewskiemu*. Z powodu braku miej-
sca, replikę pańską zamieścić możemy dopiero w na-
stępnym numerze.

P. Stef. Z. w St. Odebraliśmy — czy zbytkujemy,
w tej chwili nie możemy odpowiedzieć stanowczo.

Ogłoszenia.

BIBLIOTEKI MATEMATYCZNO-FIZYCZNEJ,
wydawanej przez M. A. Baranieckiego i A. Cza-
jewicza z zapomogi Kasy pomocy naukowej imie-
nia Mińskiego wyszły tom:

Seryi III. *Kosmografia J. Jędrzejewicza* str.
448 drzew. 245 tablic litogr. 9 fotogr. Cena
rs. 3 kop. 80.

Dawniej wyszły:
W Seryi I. *Początki arytmetyki M. Berkma-
na*, kop. 65; *Wiadomości początkowe z fi-
zyki K. Kramczyka*, dwa części, kop. 40
i kop. 45; *Wiadomości z geografii fi-
zycznej A. W. Witkowskiego*, kop. 45.

W Seryi III. *Arytmetyka, M. A. Baranieckie-
go*, rs. 1 kop. 70; *Przecięcia stożkowe M. A. Baranieckiego*, kop. 85.

W Seryi IV. *Równania liczebne J. Sobockie-
go*, rs. 2; *Geometria analityczna W. Za-
jaczakowskiego*, rs. 3.

Skład w księgarni E. Wende i Sp.

1—4

1361

figur kolorowanych zawiera

HISTORIA NATURALNA

HAYEKA

wychodząca zeszytami, po 60 kop.

Zeszyt 10—opuszczył prasę.

H. Olawski wydawa. S. to. Krzyżka nr. 11.

Szach i Mat

(Karyerowicz)

komedia w 4-ach aktach

Józefa Blizińskiego,

opuszcza prasę w oddzielnej obitce, nakładem
Redakcji „Echa Muzycznego i Teatralnego”
i jest do nabycia w Biurze Redakcji (Senator-
ska 26) i we wszystkich księgarniach, w cenie
50 kop za egzemplarz. 2—3

LETNIE MIESZKANIA

w Ostrowie, przy przystanku kolei Terespolskiej
Dębe, w suchym lesie sosnowym, w domkach
wygodnie urządzone. Produkty na miejscu,
komunikacja z najbliższymi miastami stała, z War-
szawą częsta. Blizsza wiadomość w sklepie pa-
rasolniczym HOFERT SENATORSKA 2.
2—5

LAKIERY I FARBY

polecając

ZAKŁADY PRZEMYSŁ.-CHEMICZNE

W. KARPIŃSKI & W. LEPPERT

w Warszawie, Elektoralna 37.

BOLESŁAWA PRUSA

(Aleksandra Głowackiego)

SZKICE i OBRAZKI

tomów 4, z portretem autora
Caołość rs. 5, każdy tom pojedynczo rs. 1.
kop. 50.

Tom pierwszy zawiera utwory następu-
jące:

Nowy rok. — Żywy telegram. — Na wakacjach.
— Kocha nie kocha? — Katarzyna. — Wódrach.
Kamizetka. — Cienie. — Pomiaty. — Przekle-
cieści. — Przy kłótni. — Milnące głosy. —
Stara bajka. — Pleśń świata.

Tom drugi:
Orestes i Pyłades. — On. — Podwójny człowiek. —
Na pogrzebie. — Echa muzyczne. — Pan Dudko-
wski i jego folwark. — Grzechy dzieciństwa.

Tom III: powieść p. t.: „Anielka.” (Chybiona
powieść).

Tom IV: powieść „Dusze w niewoli.”
Przesyłający pieniądze bezpośrednio do
kantoru Spółki kosztów porta pocztowego
nie ponoszą.

SPÓŁKA NAKŁADOWA.
Zielna 7-A.

NIZINY

opieś

Elizy Orzeszkowej

wydanie ozdobne, z ilustracyami E. M.
Andrioligo.

Cena rubel jeden.

Nakład Autorki, do nabycia we wszyst-
kich księgarniach.

W Administracyi Prawdy nabyć można:
J. Brandesa
Główne prądy literatury XIX-go wieku.

Tomy: I, II, III po rs. 1 k. 50, tom IV
rs. 2, razem rs. 6 (z przesyłką).
Tom V zawierający Szkółkę romantyczną
we Francji, (z wydawnictwa Spółki Na-
kładowej) rs. 2.

Nakładem Prawdy wyszło ilustrowane
dzieło słynnego badacza angielskiego J. E.
Taylora p. t.:

ZMYŚLNOŚĆ I MORALNOŚĆ ROŚLIN
w przekładzie J. K. Potockiego.

Książka ta, która liczy zaledwie parę
miesięcy, a już zapowiadana jest w prze-
kładach na kilka języków europejskich,
w mistrzowski sposób, w niegwałcących
ścisłości naukowej upodobnieniach sto-
sunków roślinnych do ludzkich popu-
laryzującą prawdę i najnowsze odkrycia bo-
taniczne, otwierając najmniej przysto-
wanym nowy a uroczy świat zjawisk.

Trzęś: Przebiegłość kwiatów. — Ich diploma-
cja. — Gra w chowanego. — Obrona nie zaczep-
ka. — Współdziałalność. — Społeczne i państwo-
wo gospodarstwo roślin. — Ubóstwo i bankru-
ctwo. — Rabunek i morderstwo. — Odwrac-
strona medalu. — Geograficzne rozpowszechnie-
nie roślin.

Cena (w gustownej oprawie) rs. 2;
dla abonentów naszych, rs. 1 k. 50.

Zwracający się z zadaniami bezpośre-
dnie do naszej Administracyi kosztów
przesyłki pocztowej nie ponoszą.

SPÓŁKA NAKŁADOWA wydała studjum
etnograficzno-społeczne W. Smoleńskiego p. t.:
DROBNA SZLACHTA
W KRÓLESTWIE POLSKIM.

Cena kop. 60.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdym opóźnieniu lub nieodbiore **PRAWDY**. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorem „PRAWDY” otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.